Nr. 42. Lwów, Niedziela dnia 16. Czerwca 1878 r. **Tom VII.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** złr. **60** cnt. półrocznie **8** złr. **80** cnt. kwartalnie **4** złr. **40** cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Dokończenie).

Poetyczna dusza Tarnowskiego potrzebowała wrażeń. Młodzieńcza fantazya rwała się w dalekie strony, łaknąc żywiołu dla siebie — w cudownie uroczych barwach przedstawiała — powaby studyowania bogactw przyrody i bogactwa cywilizacyi rozmaitych krajów i narodów. Tarnowski namiętnie lubił muzykę — ona była mu wyrazem uczuć, niedających się ująć słowem, a przepełniających tkliwą duszę. Fortepian był powiernikiem myśli samotnika — rzewnych uczuć i tęsknot tłomaczem. Pragnął gorąco poznać Liszta — poznajomić się z tajemnicami jego gry mistrzowskiej; odgadnąć ten urok, czyniący ją tak potężną, tak porywającą. Od lat najmłodszych lubił podróżować. Będąc studentem korzystał z każdej pory, aby czynić wycieczki po kraju, które z Krakowa najczęściej razem z Grabowskim odbywali. Grabowski zdejmował widoki okolic i typy mieszkańców — Tarnowski unosił się nad pięknością przyrody a podsłuchiwał melodye wiejskie, notował pieśni ludu. Chęć poznania Liszta popchnęła go w podróż do Rzymu; o którym oddawna marzył. Zamiłowanie podróży wzrastało z każdym krokiem po klasycznej uczynionym ziemi, w duszy młodego wędrowca. Z jakim zachwytem tę pierwszą dalszą odbył pielgrzymkę, z jakim wrażeń zasobem powrócił, widać z następujących słów listu, pisanego w pierwszej chwili po powrocie do domu:

„Wróciwszy z szerokiej mojej wycieczki, odzywam się, miotany jeszcze mnóstwem sprzecznych uczuć — ogrzany i opalony łuną światła Tycyanowego, rozkołysany gondolą; z łokciami wytartemi na kolumnach św. Marka — z duszą rozpaloną muzyką Liszta — okiem zachwyconem Kalamami lipskiemi — Dreznem — Sykstyną i Chrystem *della Moneta*, Biberą i C. Dolce... Ale nad wszystko *Mater Dolorosa* Solimenego porwała mię — zgniotła — i podniosła znowu!!... Powiadam ci, żem płynąc morzem — że noc całą widząc gwiazdy odbite w milionach fal — a potem słońce zmartwychwstające z otchłani — i Wenecyę jak Wenus wstającą z Adryatyku... z marmurowem czołem... z tęczami barw swoich... mogiłami kopuł swoich — nie miałem tych rzewnych uczuć, co wobec Madonny Solimenego!...“

Jako poeta był Tarnowski bardzo płodnym pisarzem. Wszystkie wrażenia rozpromieniały w duszy jego tęczowym pryzmatem poezyi — poezyą słowa i poezyą melodyi. Pierwsze swe utwory wydał pod tytułem *Poezye studenta.* Jest ich cztery tomy. Występując po raz pierwszy na widownię literacką usiłował zachować ściśle *incognito*, nie wiedząc jakiego doznają przyjęcia owe pierwiosnki marzeń młodzieńczych, pochodzące z czasów jeszcze życia akademickiego, spółtowarzyszom ławy szkolnej poświęcone. Chodziło mu tak dalece o zachowanie bezimienności autorskiej przy tym pierwszym w świat występie, iż w przedmowie do pierwszego tomu, podaje utwory te jako pośmiertną pozostałość po jednym z kolegów. Później przybrał pseudonym *Ernest Buława*, i pod tem nazwiskiem wychodziły już potem wszystkie jego poezye, czy to rozrzucone po czasopismach, czy też osobno wydane, jako to: *Krople czary*, *Szkice Helweckie* — *Nowe poezye*, i t. d. Wszystkie te utwory mają nastrój liryczny. Próbował się też i w dramacie i powziął był myśl napisania całego cyklu historycznych dramatów illustrowanych muzyką. Był to pomysł oryginalny tworzenia wielkich kompozycyi dramatyczno-muzykalnych, do których wielkie chwile dziejowe miały dostarczyć motywów. Tak napisał *Joannę Grey*, tragedyę historyczną z dodaniem uwertury, streszczającej w sobie cały przebieg akcyi tragicznej. Oprócz wielu kompozycyi muzycznych w rozmaitym rodzaju, skomponował trzy aktową operę *Achmet*, do tekstu wziętego z Waszyngtona Irwinga. Z dziejów polskich napisał tragedyą *Karlińscy*.

Poznawszy się z Lisztem, później co roku już na zimę jeździł do niego. List wysoko cenił jego talent twórczy i metodę gry. Pamiętają Lwowianie koncert, dany tutaj przez niego na korzyść *Towarzystwa opieki narodowej*, którego cały program składał się z utworów Liszta. Co miał najdroższego, bogactwo talentu i uczuć, przyniósł na użytek spółbraci — składał jako ofiarę na ołtarzu ojczystym dobra publicznego.

Miłość ojczyzny była mu wszystkiem, pochłaniała wszystkie myśli i uczucia — kierowała piórem i słowem. Jej wyrazem była pieśń każda. — Do niej odnosiły się wszystkie jego marzenia i poezye. Ona tchnęła w nie blaskiem i ciepłem. W poezyach jego wszędzie bije myśl zacna, podniosłe piękne pojęcie, gorąca miłość ojczyzny i rzewność, znamionująca tkliwą, szlachetną duszę. Znawcą był sztuki niepospolitym. W dziedzinie estetyki dziejów i archeologii artystycznej, posiadał erudycyą, jaką rzadko widzieć nawet pomiędzy pierwszego rzędu uczonymi — ale nauka jego osłaniała się zawsze płaszczem skromności; nie szukał z niej chluby u świata — powiedziałbym, ukrywał się z nią, aby w życiu powszedniem nie imponować nikomu — daleki od pyszałkostwa, jak każdy prawdziwie wyższy umysł. Zbiory jego pamiątkowe i artystyczne, tudzież biblioteka wróblewiecka są tego zamiłowania i znawstwa bardzo cenną pozostałością.

Kochał Wróblewice — kochał nad wszystko swój kraj i swoich — a jednak w świat daleki rwał się duszą wrażeń łakomą — w strony dalekie, które fantazya poety malowała najcudowniejszym kolorytem. Chciał studyować te światy, te społeczeństwa, na które duch dziejowy rozmaite wycisnął piętno — odżyć reminiscencyami klasycznego piękna Hellady, dziejów biblijnych i fantastycznemi Wschodu pięknościami. Ostatni lat dziesiątek przepędził w znacznej części na podróżach, a zatęskniwszy za krajem ojczystym, za gniazdem rodzinnem powracał zawsze na czas jakiś do Wróblewic na wypoczynek — aby ochłonąć z wrażeń w zaciszu lip starych, przy piórze i pracy — i zaczerpnąć siły do nowych trudów wędrownych. Poznawszy całą Europę, Niemcy, Francyą, Anglią, Szkocyę i Hiszpanią, puścił się zwiedzać inne części świata. — Zwiedził Grecyą i Palestynę, Egipt i Algieryą. Zeszłej jesieni wypłynął do Indyi, Chin i Japonii, zkąd zamierzył odbyć podróż na około świata—

i tu na Oceanie spokojnym, w drodze do San-Francisko zaskoczyła go śmierć dnia 3 maja br. Zwłoki pozostające tymczasowo w San-Francisko będą sprowadzone do ojczyzny i złozone w rodzinnym grobie w Wróblewicach.

Spoczywaj tęskny żeglarzu! po życia trudach, po uczuć burzy. — Usnąłeś na falach oceanu, z wzrokiem zwróconym ku ojczystej ziemi, dla której biło każde serca uderzenie, ku której ostatnie uleciało westchnienie. Grobowcem ci są zacne myśli twoje — uczucia szlachetne, pięknych marzeń ideały, gorącem wypowiedziane słowem — grobowcem, który pozostanie na zawsze otoczony czcią ziomków — przyjaciół żałobą.

Władysław Zawadzki.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Jednego razu zdarzyło się, że kiedy oboje w nocy czuwali przy chorej, ta zaczęła coś majaczyć o synu, zdawało jej się, że go ktoś ściga, zerwała się z łóżka i chciała biedz mu z pomocą. Jan i Amelia równocześnie przybiegli do niej, aby ją powstrzymać. Zaczęła się mocować z nimi i krzyczeć.

— Puszczajcie mnie! Dlaczego mi nie pozwalacie ratować mego syna. Czyście wy nigdy nie mieli syna — serca?

Tu zaczęła bez związku i ładu mówić coś o sercu, o synu już nieco spokojniejsza, gdy znowu jakieś gorączkowe widzenie ją zaniepokoiło i na równe nogi wyskoczyła z łóżka wołając:

— Ratujcie! mój syn, mój!

— Ależ matko, ja tu jestem przy tobie — mówił Jan słodkim, łagodnym głosem, uspokajając matkę i kładąc ją napowrót do łóżka z pomocą Amelii.

— Gdzie, gdzie syn mój? — powtarzała niespokojnie chora, szukając w koło rękami i oczami.

— Tu jestem, przy tobie.

Chwyciła go konwulsyjnie za rękę i twarz jej skurczyła się w osłupiały uśmiech.

— Jesteś, jesteś — szeptała ucieszona gniotąc jego rękę w swojej — to dobrze. Nie chodź tam do nich, to źli ludzie, tam nieszczęście cię czeka. Zostań tu przy nas, przy matce, ja ci wyszukam jakiej księżniczki albo królewny za żonę, pożenicie się i będziecie szczęśliwi, bardzo szczęśliwi.

Urwała nagle, położyła palec na ustach i szepnęła:

— Cicho! słyszysz, już jedzie. W złocistej karecie, w sześć koni z piórami, patrz wchodzi, szumi jedwabiami po podłodze. No, witajże ją przecie — mówiła popychając syna ręką i zaczęła kiwać głową, układając twarz do powitalnego uśmiechu i mówić: Witamy, witamy piękna księżniczko, to mój syn.

Nagle schmurzyła się i patrząc ciągle nieruchomo w stronę gdzie stała Amelia, odezwała się do syna:

— Cóż to? Nie chce iść do mnie? Dla tego, że ona księżniczka? Ale ja matka, twoja matka — i zwróciwszy się do Amelii spytała ostro:

— Dla czego nie chcesz iść do mnie? Możeś się dowiedziała co o jego ojcu, może ci się wydajemy biedni? Na nas nie patrz, ale na niego, takiego i na królewskich dworach nie upatrzysz: No, nie przyjdziesz tu do mnie?

W głosie jej czuć było już rozdrażnienie. Amelia dla uspokojenia jej zbliżyła się do łóżka. Staruszka wnet rozjaśniła twarz.

— A! byłam pewną, że przyjdziesz, bo ja wiedziałam, że ty go kochasz. Oko matki umie poznać tych, co kochają jej dziecko. Prawda, że ty go kochasz? No mów, niech usłyszy, bo on matce nie uwierzy może. Czemuż nic nie mówisz? No powiedz — zawołała gwałtownie — kochasz go?

— Kocham — odrzekła Amelia.

— Bardzo? No, czy bardzo?

— Bardzo.

— To nie ma co zwlekać, zrobimy zaręczyny. Daj mu ten błyszczący pierścionek — i poczęła ściągać z palca Amelii piękny pierścionek ze szmaragdem oprawnym w brylanty, i podała go synowi. Potem zaczęła męczyć się nad zdjęciem ze swego palca jakiegoś starego pierścionka z matką boską i kiedy to jej w końcu się udało, włożyła go Amelii na palec mówiąc:

— Wybaczcie piękna księżniczko, że tak ubożuchny pierścionek mój syn ci ofiaruje, nie świecą w nim brylanty, ani drogie kamienie, ale świeci w nim błogosławieństwo boże i miłość. Ten pierścionek przez trzy pokolenia już towarzyszy szczęśliwym małżeństwom. Obyście i wy tak byli szczęśliwi. Dla czego nie podajecie sobie rąk. Janie, podaj jej pierwszy, wszak ty mężczyzna, bądźże śmielszy, choć to księżniczka, tyś jej wart. No podaj jej rękę.

Jan wyciągnął nieśmiało rękę ku Amelii, która mu także podała swoją.

— A teraz — ciągnęła dalej chora — przysięgnijcie sobie, że się do śmierci kochać będziecie. No, cóż, dlaczegoż milczycie?

Amelia pierwsza odezwała się głosem pełnym, dźwięcznym: przysięgam, a potem zniżonym głosem szepnęła Janowi: nie draźnij pan chorej uporem. Jan machinalnie powtórzył za nią: przysięgam.

Jakkolwiek robili to wszystko dla uspokojenia chorej, jednak na Jana ta cała ceremonia zaręczyn dziwnie wzruszające a po części i niepokojące robiła wrażenie. Kiedy żydówka powtarzała za matką to słowo: kocham, uczuł wstrząśnienie w całym organizmie, jakby elektryczny prąd przebiegł po jego nerwach. Pierwszy raz słyszał to słowo w ustach kobiety, a jakkolwiek wypowiedziała je nie na seryo, to jednak było w niem jeszcze tyle ciepła serdecznego i jakiejś uroczystej świątecznej powagi, że Janowi w tej chwili na myśl przyszło, ile potęgi i uczucia musiałoby mieć to słowo w ustach, gdyby je na seryo wymawiała, i pod tem wrażeniem mimowoli uścisnął jej rękę, którą trzymał w swojej dłoni.

Chora tymczasem podniósłszy oczy w górę, zaczęła niby błogosławić, mówiąc jakieś modlitwy, które powoli przeszły w ciche szeptanie coraz niewyraźniejsze, aż przymknęła oczy, i ucichła całkiem. Usnęła.

Amelia wysunęła lekko rękę swoją z ręki Jana i podniosła się z klęczek. Na jej twarzy znać było zmęczenie, zapewne w skutek tej sceny, którą musiała odgrywać. To też chcąc ją prędzej zakończyć, zdjęła z palca ów zaręczonowy pierścionek i oddała go Janowi. Ręka jej tak drżała, że pierścionek wypadł jej na podłogę i potoczył się pod okno. Jan pobiegł za nim.

— Ach, jaka ja niezręczna — mówiła zawstydzona.

Z kolei Janowi wypadało oddać także pierścionek. Była to rzecz bardzo naturalna, a jednak trudno mu było zdobyć się na to. Zdawało mu się, że tem ubliża Amelii i staje się winnym względem niej. Łatwiej mu było przyjąć, jak oddawać. Chciał przewlec jeszcze tę chwilę i dlatego oglądał z udanem zajęciem pierścionek, podziwiając jego robotę i ogień dyamentów.

— To od mego narzeczonego. Od *prawdziwego* narzeczonego — dodała z jakimś dziwnym przykrym uśmiechem.

Jan w tej chwili oddał pierścień.

Świt niebieskawy zaczął już rozjaśniać okna. Amelia zabierała się do odejścia. Potrzebowała iść do domu trochę wypocząć i przebrać się. Jan nie zatrzymał jej, bo widział, że była bardzo znużoną i senną. Ruchy jej były jak lunatyczki bezwiedne i nieprzytomne prawie; idąc potykała się i zawadzała o stołki. Chciała wyjść bez szalu, aż Jan spostrzegłszy to pobiegł i podał jej. Nie oglądając się, ani dziękując mu, wzięła machinalnie chustkę z rąk jego i poszła chwiejnym krokiem ku drzwiom. Nie doszła do nich i z przytłumionym łoskotem upadła zemdlona. Jan przestraszony schylił się ku niej, wziął ją za ręce i wstrząsnął silnie. Ciało zakołysało się bezwładnie na podłodze bez znaku życia. Twarz jej przy niepewnem świetle zarannem była silnej bladości. Po chwili dopiero, gdy jej prysnął na twarz kilka kropel wody, dała znak życia ciężkim oddechem. Kiedy przyszła do siebie i spostrzegła, że leży na ziemi oparta głową na ramieniu Jana, odsunęła się od niego zażenowana i usiłowała powstać. Nie mogła tego zrobić bez jego pomocy tak była bezsilna.

— Zmęczyłam się trochę — mówiła z wymuszonym uśmiechem, który nadzwyczaj smutnie wyglądał na jej pobladłych ustach. — Prześpię się, to będzie mi lepiej.

— Jakto? Chcesz pani wracać do domu przy takiem osłabieniu? Ależ to niepodobna, ja nie mogę pozwolić na to.

Mówiąc to wziął ją za rękę i usiłował zatrzymać. Od tego dotknięcia rumieniec jak błyskawica przeleciał po jej bladej twarzy, cała postać ożywiła się wewnętrznem jakiemś wstrząśnieniem; wyrwała prawie rękę swoją z jego dłoni i odrzekła pospiesznie z jakąś gorączkową niecierpliwością:

— Muszę, muszę iść, tu duszno, potrzebuję powietrza, chłodu.

— To przynajmniej odprowadzę panią.

— Nie, nie — broniła się — zostań pan przy matce. Może się przebudzić, i tak już dzień, trafię sama.

To powiedziawszy wyszła prędko z pokoju, nie spojrzawszy nawet na niego.

To go zastanowiło. Przypomniał sobie, że przyszła wieczorem z zamiarem pozostania całą noc przy jego matce. Tymczasem nagle przyszła jej myśl wracać do siebie. Zauważył, że od owej sceny z pierścionkiem była w ja-

kiemś nienaturalnem usposobieniu, w jakiemś rozdrażnieniu nerwowem. Po dłuższym namyśle przyszedł do przekonania, że prawdopodobnie drażliwa rola, do jakiej zmusiła ją nieprzytomna matka jego, musiała zażenować młodą dziewczynę i zmięszać ją. Tem tłómaczył sobie wszystko. Więcej przypuszczać nie mógł, a może i nie chciał. A gdyby nawet miłość własna podszepnęła mu była inne jeszcze jakie przypuszczenia, domysły, to zachowanie się Amelii w dniach późniejszych byłoby je z pewnością całkiem usunęło. Nie dostrzegł w niej bowiem żadnej zmiany, któraby usprawiedliwić mogła te domysły. Była wprawdzie w pierwszych dniach po owej scenie nocnej nieco poważniejsza, nieco sztywniejsza w obejściu się z nim; ale niezadługo ta sztywność roztajala i wnet wrócili do dawnej, poufałej znajomości. Tak przynajmniej Jan sobie tłómaczył ten stosunek. Zdawało mu się, że gdyby kiedykolwiek miał był siostrę, toby żywił dla niej właśnie takie przywiązanie, jakie miał dla Amelki. Nie dawno się wprawdzie znali; ale przebyte wspólnie chwile przy łóżku matki, wystarczyły za lata znajomości i zbliżyły ich do siebie. Jan tak był z nią szczerze i serdecznie, jakby Bóg wie od dawna się znali. Przywiązanie jego i wdzięczność dla przybranej siostry jeszcze więcej się wzmogły, gdy widział z jaką żywą radością przyjęła od doktora wiadomość, że chora przeszła niebezpieczeństwo, i niezadługo wróci do zdrowia. Był to wybuch radości, graniczący z szałem prawie. Amelka śmiała się i płakała na przemiany, skakała po pokoju jak dziecko klaskając w dłonie, to całowała ręce chorej i męża jej, który zażenowany nie chciał pozwolić na to żadną miarą. O mało, że samego Jana nie uściskała; tak radość jej potrzebowała wywnętrzyć się, podzielić ze wszystkimi.

Jan wdzięcznym jej był w duszy za to uzewnętrznienie radości, którą i on czuł żywo w duszy; ale jej objawić nie umiał. Ona była niejako wyrazem jego uczuć. Nie mógł się powstrzymać, by jej nie podziękować za to, i gdy odchodzącą odprowadzał do sieni, uścisnął jej za rękę i rzekł głosem wzruszonym:

— Pani jesteś bardzo dobrą, panno Amelio, dla mojej matki, dla nas.

Chciał nawet przepełniony wdzięcznością i szacunkiem złożyć pocałunek na jej drobnej rączce; ale mu ją wyrwała zażenowana, skoro spostrzegła jego zamiar i uciekła.

Biegła ku domowi, kierując się więcej przyzwyczajeniem, niż oczami, bo nie widziała nic przed sobą, tak odurzona, nieprzytomna biegła. Jakieś wewnętrzne zadowolenie jej dodawało lotu. W ogrodzie uderzyła się o coś, była pewną że o drzewo i chciała iść dalej, gdy uczuła, że ją ktoś zatrzymał w objęciach swoich. Był to niemłody już, krępy, silnie zbudowany żyd z rumianą twarzą i szpakowatym krętym włosem.

— Małka, a ty gdzie tak biegniesz? Jesteś cała spocona.

Mówiąc to, dobył prędko chustki i z troskliwością zaczął obcierać jej twarz i czoło; a wśród tego mówił dalej głosem rozmiękłym od uczucia:

— Nie rób tego nigdy, Matka, mogła byś się zaziębić. Mogłoby z tego wyniknąć wielkie nieszczęście. Chodź, usiądź tu, odpocznij sobie.

Chciała coś mówić, czy zapytać się; ale jej zamknął usta:

— Nie mów jeszcze Malciu, bo jeszcze oddechu złapać nie możesz. Wiem, co mi chcesz powiedzieć, że wracasz od Leszczyców. Ona podobno była bardzo chora? Mówiła mi Sura, żeś tam u niej po nocach siadywała. Czy ci to nie zaszkodziło tylko? Pomizerniałaś trochę.

— To nic; za kilka dni przyjdę do siebie; ale za to ją wyratowaliśmy — mówiła z żywą radością — doktor powiedział, że już niebezpieczeństwo minęło.

— To dobrze, to bardzo dobrze, bo to uczciwa kobieta; szkoda by jej było. I cóż to za choroba była?

— Bardzo ciężka choroba — i tu Amelka zaczęła mu z najdrobniejszemi szczegółami opowiadać cały przebieg choroby, jej najniebezpieczniejsze momenta, przedstawiając mu żywo swoje obawy i troski o zdrowie chorej. Żyd słuchał, a przynajmniej udawał, że słucha z wielką uwagą, nie spuszczając oka z córki. Więcej jednak zdaje się patrzał, jak słuchał. Kiedy skończyła, pogłaskał ją z uśmiechem po twarzy i rzekł żartobliwie:

— Jak widzę, to ja będę musiał procesować tę panią Leszczycową, że mi cię całkiem zabrała dla siebie, a ojcu nie zostawiła ani kawałeczka serca.

— O, to nie prawda. Ja cię zawsze kocham.

— Ale już tak nie tęsknisz, jak dawniej, nie wyglądasz z niecierpliwością mojego przyjazdu. A widzisz? A ja, nie ma godziny, żebym o tobie nie myślał. No, chodź tu, siądź na kolanach i pobaw się moją brodą, jak to dawniej zawsze zwykłaś była robić. Widzisz, tak dawnośmy się nie widzieli, trzy tygodnie będzie jutro?

Chciał jeszcze dalej coś mówić, gdy nagle córka zerwała się z jego kolan, spojrzała mu bystro w oczy i zapytała:

— Ale on nie przyjechał, prawda? Niech się nie waży przyjeżdżać, ja go nie chcę więcej widzieć — i zrobiła twarzą grymas wyrażający obrzydzenie.

— Małko, co się tobie stało? — spytał łagodnie ojciec, nie mogąc zrozumieć tego niespodziewanego wybuchu gniewu przeciw narzeczonemu.

— Wszak wiesz dobrze, że go nie cierpię.

— To też ja nie przymuszam cię, abyś go kochała; ale udawaj chociaż.

— Ja nie chcę ani udawać; nie chcę go znać. Weź i oddaj mu ten pierścionek — mówiła dalej ściągając z pośpiechem pierścień z palca — ja nie chcę go więcej nosić.

— Małka, co ty głupia wygadujesz? Chcesz zgubić mnie i siebie?

— To nie prawda. Ten człowiek nie może mieć takiego wpływu, abyśmy się go obawiać mogli. A jeżeli ci idzie o zyski ze wspólnictwa, to ci powiem, że ja wolę być biedną, nic nie mieć, pracować ciężko; aby tylko nie nazywać się więcej jego narzeczoną.

Żyd w milczeniu słuchał tej gwałtownej mowy córki, a czarne oczy trzymał sztywnie w nią utkwione; nie wiadomo, czy ją badał, czy nad czemś myślał głęboko, a wśród tego niespokojnie przebierał palcami po brodzie. Kiedy córka mówić przestała, on jeszcze namyślał się i dopiero po jakimś czasie zapytał powolnym głosem:

— Powiedz mi, Małka, kto ciebie namówił do tego?

— Mnie nikt nie namówił.

— Jak ojca kochasz?

— Jak cię kocham, ojcze; tylko ja sama brzydzę się sobą, gdy pomyślę, że ten szkaradny człowiek ma prawo nazywać mnie narzeczoną swoją. Zdaje mi się wtedy, żeś mnie sprzedał jemu, i nie mogę utulić się z żalu.

Mówiąc to zaniosła się spazmatycznem łkaniem.

— Małko, dziecko moje, uspokój się — prosił ojciec tuląc płaczącą do siebie — no, ty głupia, słyszysz, nie płacz, bo... bo będę się gniewał na ciebie.

Ale zamiast się gniewać, sam zaczął co prędzej nos ucierać i wysuszać prędko chustką łzy z oczów.

— A widzisz, ojcze, że ty sam czujesz, że to źle, i ty wiesz dobrze że to zły człowiek. O! to musi być bardzo zły człowiek, kiedy ja go tak nienawidzę. Zobaczysz ojcze, że cię nieszczęście jeszcze spotka jakie, jeżeli nie odsuniesz się wcześnie od niego.

— Ba, żeby to można.

— Dlaczego nie można? Powiedz, co jest między wami?

— Na co ci to wiedzieć — mruknął żyd niechętnie. — To ci powinno wystarczyć, że ten człowiek jak zechce, może mnie zgubić.

— Taki nędzny komisant jakiegoś handlowego domu?

— Szkodzić może i robak, a pomódz i największy mocarz czasem nie może.

— I cóż ci może zrobić?

— To, że ani byś ty mnie nie widziała, ani ja ciebie.

Głos mu drżał, gdy to mówił i był przesiąkły łzami. Córka nie mogła wątpić, że mówił prawdę i z politowaniem poglądała na niego. Skorzystał z tego jej usposobienia i mówił dalej:

— Dlatego widzisz, nie możemy drażnić jego gniewu. Trzeba jeszcze cierpieć go czas jakiś.

— Jak długo? — spytała zadąsana.

— Wiem ja? — Może jeszcze pół roku, może więcej; dopóki nie znajdę sposobu pozbycia się go, lub usunięcia się od niego tak, aby nam więcej szkodzić nie mógł.

— Możeby można zapłacić mu i pozbyć się go na zawsze.

— Kiedy on nie chce nic, tylko ciebie, bo wie, że z tobą weźmie wszystko, co mam.

— O! to trzeba się go pozbyć, jak najprędzej pozbyć — mówiła przestraszona.

— To też myślę nad tem. A jeżeli mi się uda coś takiego wymyśleć, to potem wyjedziemy ztąd daleko.

— Dla czego mamy wyjeżdżać?

— Przed nim, rozumiesz? przed nim. Musimy być daleko od niego, aby być bezpiecznymi. Pojedziemy choćby do Ameryki. Tam wyszukasz sobie męża.

— Ja nie chcę męża z Ameryki.

— Będziesz miała, zkąd zechcesz. Choćby go przyszło kupić za grube pieniądze, to kupię, abyś tylko miała takiego, coby cię zrobił szczęśliwą.

Córka przytuliła do piersi ojca twarz zapłonioną i uściskiem dziękowała mu za to, co jej mówił. On drżącemi żylastemi rękami gładził jej włosy i mówił:

— Bo ty musisz być szczęśliwą! Ja dużo dałem za to, żebyś ty była szczęśliwą.

(C. d. n.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(*Ciąg dalszy*).

Posłuchajmy co mówi Rousseau. Podług niego, zadaniem polityki jest: „odnaleźć taką formę stowarzyszenia, któraby z pomocą wszystkich zjednoczonych sił broniła i opiekowała się osobą i majątkiem każdego stowarzyszonego, i w której *każdy łącząc się ze wszystkimi, słuchałby jednak tylko samego siebie i pozostałby również wolnym jak przedtem*. Aby dojść do tego rozwiązania, które pokazało się nie bardzo łatwem, Rousseau widział jeden tylko sposób, całkowite zaparcie się ze strony każdego stowarzyszonego, zrzeczenie się swej osoby i praw swoich na rzecz ogółu. Lecz takie zrzeczenie się — jest to śmierć cywilna, jest to wstąpienie mnicha do klasztoru. Lecz podług Rousseau nie jest ono niebezpiecznem z dwu zasad: „1) każdy oddaje się w całości, zatem warunek jest równy dla wszystkich, nikomu nie zależy na tem, aby go uczynić cięższym dla innych; 2) każdy poddając się wszystkim, nie poddaje się nikomu, a ponieważ nad każdym ze stowarzyszonych możemy nabyć takie tylko prawo, jakie mu na nas samych odstępujemy, przeto zrównoważamy stratę i zyskujemy więcej siły dla zachowania tego, co posiadamy." Odstąpić na rzecz ogółu naszą duszę, naszą wolność i majątek, by w zamian tego nasi współobywatele uczynili to samo, jest to z pierwszego rzutu oka interes, na którym nikt niczego nie zyskuje. Każdy poświęca się na korzyść istoty oderwanej, którą nazywamy władzą zwierzchnią lub państwem.

Lecz władza zwierzchnia, to wszyscy — mówi Rousseau — a ja przeczę temu. Zachodzi tu pomięszanie pojęć i wyrazów. Przechodząc do praktyki, gdy przyjdzie mianować sędziów i naczelników, przekonywamy się, że naród wykonywający władzę nie jest tym samym narodem, nad którym władzę sprawują. Rząd *umowy społecznej* zamiast być rządem każdego nad samym sobą, jak mniema Rousseau, jest w teoryi rządem wszystkich nad każdym, w istocie zaś, jest to rząd większości, a po większej części nawet, rząd mniejszości zuchwałej i burzliwej. Rzeczpospolita jest wolną, obywatele są niewolnikami. Po dowody odsyłam do konwencyi.

Rousseau czuł, że ten system tyranii jest groźny, lecz zdobył się on na jeden tylko środek zaradczy, polegający na tem, aby władza zwierzchnia t. j. naród, zawsze była zajęta sprawami publicznemi. I oto znowu wracamy do *agora* i do *forum*. Lecz aby społeczeństwo mogło spędzić życie na słuchaniu mowców, na ciągłych wyborach, lub na sądzeniu, muszą być klasy niższe, któreby zań pracowały, zatem niewolnictwo jest pierwszym warunkiem w ten sposób pojętej wolności politycznej. Zarzut ten nie przestrasza Russa. „Co! Wolność może się opierać tylko na niewoli? Być może. Ostateczności stykają się z sobą. Wszystko cokolwiek nie istnieje w stanie natury, ma swe niedogodności, a społeczeństwo cywilne bardziej niż wszystko inne. Są położenia nieszczęsne, w których wolność swoją można zachować jedynie kosztem wolności innego. Są położenia, w których obywatel może być tylko wtedy zupełnie wolnym, gdy niewolnik będzie zupełnym niewolnikiem. Takie było położenie Sparty. Co do was ludy nowożytne, wy nie macie wcale niewolników, lecz sami nimi jesteście. Ich wolność opłacacie waszą. Napróżno się silicie wychwalać to pierwszeństwo, więcej w nim widzę podłości niżeli ludzkości."

Że Rousseau bawił się w podobne paradoksy, nie dziwi mnie wcale. Lecz, że wiek cały, i do tego wiek światły, przyjmował to na seryo, to nas przejąć może wstydem, i rozumię najzupełniej ten wykrzyk pewnego rozumnego człowieka: „O zdrowy rozsądku, wielbię ciebie po przebyciu rewolucyi!"

Przypuśćmy, że system *umowy społecznej* jest możliwy. Wszyscy obywatele głosują i zajmują się sprawami publicznemi, większość rozstrzyga, jakie więc są rękojmie dla mniejszości i jednostek? Nie ma ich wcale. Nowy paradoks Russa (a ten szczególnych doznał względów), uczy nas, że władza zwierzchnia jest zawsze nieomylną, naród zawsze ma słuszność. „Władza zwierzchnia utworzona z tychże samych osobistości, które go składają, nie ma i nie może mieć interesów przeciwnych ich interesom, a zatem władza zwierzchnicza nie potrzebuje żadnych rękojmi względem poddanych, ponieważ jest niemożebnością, aby ciało chciało szkodzić wszystkim swym członkom. Władza zwierzchnia dla tego tylko, że jest, jest zawsze tem, czem być powinna." Neron i konwencya nie mówiły nigdy nic innego. Toć przedstawiali naród, a naród mógł czynić wszystko.

Lecz co śmiał utrzymywać cesarz rzymski, tj. bóg śmiertelny, tego czynić nie może władza chrześciańska. Religia nie należy do Cezara, sumienie leży po za granicami państwa. Rousseau pojął to. Na wzór Rzymian ustanawia on religię polityczną, i zwierzchnika czyni wielkim kapłanem społeczeństwa. „Istnieje wyznanie wiary, wiary czysto cywilnej; do zwierzchnika należy prawo ustanawiać jej artykuły. Nie są to dogmata wiary, lecz uczucia towarzyskości, bez których nie można być ani dobrym obywatelem, ani wiernym poddanym. Nie mogąc nikogo zmusić do wierzenia w nie, zwierzchnik może wydalić z państwa każdego, kto w nie nie wierzy, może go wydalić nie jako bezbożnika, lecz jako człowieka nietowarzyskiego, niezdolnego szczerze szanować praw i sprawiedliwości i w razie potrzeby poświęcić życie za obowiązki. Jeżeli ktoś, uznawszy publicznie te dogmaty, prowadzi się tak, jakby w nie niewierzył, niechaj będzie ukaran śmiercią, popełnił bowiem największą zbrodnię: skłamał wobec prawa."

Widzimy zkąd Robespierre wydobył najwyższą swą istotę; tak co do religii, jak co do polityki zna on tylko *umowę społeczną;* Saint-Just i on, oto dwaj zagorzali apostołowie Russa, obaj przy pomocy gilotyny głoszą ewangelię, lecz nie jest to ewangelia wolności.

Przykro wyznać, że wpływ Russa uniósł zgromadzenie prawodawcze, złożone z ludzi utalentowanych, z wzniosłych serc. Ograniczono władzę wykonawczą, ludowi poruczono wybór zarządzających i sędziów i wzięto się na seryo do organizowania wolnych urządzeń; lecz wszystkie te dobre czy złe środki były do głębi przeniknięte panującą nad wszystkiem zasadą—wszechpotęgą zgromadzenia.

Jako organ ludu, zgromadzenie przywłaszczyło sobie prawo czynienia wszystkiego i przekształciło kościół zarówno jak i monarchią. Dla członków zgromadzenia, podobnie jak dla Russa, wolnością jest zwierzchnictwo ludu, dajcie kartkę wyborczą każdemu obywatelowi, niech pełnomocnicy ich stanowią o wszystkiem, a dzieło skończone.

Ten sam błąd zgromadzenia popełnili patryoci roku III. i wielu innych. Gdyby wolność polegała tylko na konstytucyi, Europa oddawna używałaby w spokoju tego dobra, za którem ciągle dąży i które wciąż jej się wymyka.

Konsulat był prawdziwą restauracyą, jak słusznie zauważyła pani de Staël. Bonaparte przyjął spuściznę monarchii i powrócił do tradycyi, ludzi i rzeczy. Nie podniósł on reszty przywilejów, których zniesienie uśmiechnęło się do Richelieu'go, lecz dokończył dzieło królów francuskich, sprowadzając na nowo wszystko do centralizacyi bardziej prawidłowej i silniejszej. Zarząd energiczny, równość zupełna, a wolności żadnej — oto rządy odnowione przez pierwszego konsula. Pierwszy konsul — to Ludwik XIV., tylko bardziej genialny, a mniej skrupulatny. Podobnie jak ów wielki król niespokojny o swą władzę, zagarnął on na nowo kościół katolicki w chwili, w której ten ostatni przyjmował odzyskaną wolność z największą wdzięcznością, otworzył na nowo uniwersytet, ustanowił ponownie cenzurę, potrzeba mu było zarówno duszy jak i rąk Francuzów.

Restauracya była powrotem rodziny królewskiej, ale nie dawnej władzy królewskiej. Karta (la charte) wiąże się z pojęciami Monteskiusza, nie zaś z zasadami starej monarchii, cokolwiekbądźby mówiła przemowa do niej napisana w celu zachowania pozorów i spopularyzowania zasady legitymistowskiej. Ludwik XVIII. przypominał sobie pojęcia hrabiego Prowancyi, a wygnanie przyniosło mu przysługę. Na nieszczęście, restauracya sprowadzona przez cudzoziemców i zniesławiona we własnem łonie, miała swoją przeszłość, która ją zabiła. Dla pojednania jej z Francyą potrzeba było geniuszu, roztropnego i silnego, drugiego Henryka IV, losy dały Francyi Karola X., jednego z tych umysłów zacnych, lecz płytkich, co zda się, stworzone na to, aby gubić monarchie.

Za restauracyi jednakże, Francya zasmakowała w wolności, wszakże znowu tylko w wolności politycznej. Zachodziły starcia na trybunie, ustanawiano i obalano prawa wyborcze, lecz zarząd nie słabnął. Państwo, złożone z króla i izb, było zawsze państwem nieograniczonem, nie udzielono wcale tych swobód prywatnych, które przechodzą w obyczaj i pogardzają rewolucyą.

Wypadki 1830 r. doprowadziły do władzy tych, którzy za poprzedniego panowania walczyli za wolność wyborów, trybuny, prasy, a wraz z niemi pisarzy patryotycznych, którzy bronili sławy oręża francuskiego przeciw nienawiści i zniewagom wychodźtwa. Dzieło, które im w udziale przypadło było trudnem. Źle widziani przez duchowieństwo, zaczepiani przez stronnictwo legitymistów, mając po swej stronie jedynie niestałe względy klas średnich, musieli utwierdzać wolność w pośród zaburzeń, i pod ogniem prasy.

Nie chcę wyrokować o tych ośmnastoletnich rządach tak smutno zakończonych. Wobec żyjących jeszcze, trudną jest krytyka, a nie mam ochoty zaczepiać zwyciężonych. Zresztą, jeżelim nie służył temu rządowi, kochałem go przynaj-

mniej, podzielałem złudzenia wraz z całą Francyą, żal mi szlachetnych urządzeń, które wraz z nim upadły. Lecz niechaj będzie mi wolno zaznaczyć błąd, który nie pozwolił wolności zaszczepić się w duszach, i który był błędem popełnionym nie przez jednego ministra, lecz przez Francyą całą. Zawsze to samo fałszywe pojęcie o państwie, oto co nas znowu zgubiło. Władzę zwierzchnią, wyborczą i parlamentarną znowuśmy brali za jedno z wolnością.

Po raz pierwszy mieliśmy trybunę i prasę, gdzie wszystko można było powiedzieć; są to rękojmie godne podziwienia, lecz potrzeba także czegoś jeszcze, ażeby te rękojmie były rzeczywistemi, potrzeba aby po za wałami znajdowali się żołnierze, którymby na obronie ich coś zależało. Z prasą i trybuną, prawda, że kraj jest wolnym, lecz nie wypływa ztąd, aby kraj ten zasmakował w swych urządzeniach. Aby przywiązać obywateli do ich przywilejów politycznych, należy zawczasu wdrożyć ich do życia publicznego, przyzwyczaić do brania udziału w sprawach gminy, departamentu, kościoła, szpitala, szkoły, należy pozwolić mu używać tych swobód prywatnych, które w nowoczesnem społeczeństwie więcej nas dotyczą, aniżeli nieskończenie mała cząstka udziału we władzy zwierzchniej. Niestety pod tym względem nie uczyniono wszystkiego, co należało zrobić. Przyznano niektóre swobody municypalne, lecz jednocześnie ściśniono jeszcze bardziej sieć centralizacyi, która zawadza i osłabia Francyą. (C. d. n.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

(Ciąg dalszy.)

IV. Śmierć Giełguda.

Wróćmy do kolumny Rolanda. Dilenshausen, chcąc powetować czas stracony około Szawel, pospiesznym marszem wyruszył na Kurszany do Łuknik, zkąd wysłał list do Szirmana uwiadamiający go o kierunku polskich oddziałów i dawszy ludziom swym nieco odpocząć, w nocy 11 lipca, wyruszył dalej i dopędził kolumnę Rolanda około Powentenia. Mając wielką ilość kawaleryi baron Dilenshausen zaatakował aryergardę polską złożoną ze Żmudzkiej kawaleryi i zgniótł ją. Dowódca, major Grzymała, został zabity, a 2 oficerów i 150 żołnierzy Moskale wzięli do niewoli. Roland wysłał natychmiast całą swą kawaleryę w aryergardę i pod przykryciem jej zaczął odstępować ku Worniom. Po drodze upatrzywszy dogodną pozycyę około wsi Kiliszki zatrzymał się i uszykował wojska mając zamiar przyjąć bitwę. Oddział stanął na wyżynie graniczącej z lewej strony z jeziorem i błotem, a z prawej z lesistą górą, dominującą nad całą przestrzenią. W środku stanęła artylerya Piętki, na lewem skrzydle kawalerya z częścią piechoty, a na prawem w lesie reszta piechoty. Ogień artyleryi dobrze skierowanej i mocna pozycya zmusiły Dylenshauzena zatrzymać się oczekując przybycia Ofenberga, od którego otrzymał wiadomość, iż idzie na Chwałojnie z 4 batalionami piechoty, pułkiem ułanów, kozakami i 6 działami.

Widząc, że oddział Chłapowskiego znajduje się o półtora mili i w takiem miejscu, które pozwalało łatwo zaatakować Moskali z tyłu, Roland posłał adjutanta swego z prośbą przyjść mu na pomoc i rozbić Dilenshauzena do przybycia posiłków, lub zmusić go do rejterady, bo znajdując się tuż na piętach odstępujących, może kompletnie zniszczyć oddział jego. Chłapowski odpowiedział, że każdy powinien myśleć o sobie, a on nie ma zamiaru naprawiać omyłek, które drudzy popełniają.

Otrzymawszy taką niegrzeczną odpowiedź i dowiedziawszy się, że Dilenshausen otrzymał już posiłki oczekiwane, o 5 wieczorem zaczął dalszą rejteradę, posławszy w aryergardę całą artyleryę, część kawaleryi i piechotę Szymanowskiego. W czasie rejterady odbyło się kilka starć kawaleryjskich i z obu stron padło do 200 ludzi.

Generał Szirman otrzymawszy od Dilenshausena wiadomość o kierunku polskiej armii, chcąc przeciąć im drogę do Prus z 2 batalionami piechoty, 4 działami i 150 kozaków wystąpił ku Worniom, lecz po drodze dowiedziawszy się od kozackich patroli, że Chłapowski wyruszył do Żoran, wrócił nazad do Telsz, a z tamtąd skierował się na Żorany, lecz przybył do tego miasta zaledwo w trzy godziny po wyjściu Polaków. Moskalom udało się jednak owładnąć częścią obozu i odbić kilkunastu oficerów moskiewskich, wziętych w poprzednich bitwach w niewolę. Z Żoran zamiast wyruszyć ku Retowowi i przeciąć drogę odwrotu Rolandowi, Szirman skierował się na Płungiany za Chłapowskim, posławszy rozkaz pułkownikowi Bartolome, znajdującemu się w Połądze, zastąpić drogę Polakom. W tenże dzień Saken przeszedł do Kołtynian, Knoring do Kelm, coraz więcej ścieśniając obręcz żelazny, którym otaczali resztę ekspedycyjnego korpusu.

12 lipca Chłapowski przybył do Gorżd, a z tamtąd poszedł w prawo i zbliżywszy się do granicy pruskiej wysłał adjudanta swego do Prusaków z uwiadomieniem, że przyciśnięty ze wszystkich stron przez Moskali chce złożyć broń na ziemi neutralnego państwa. Dowiedziawszy się o tem oficerowie oddziału, otoczyli dowódcę swego, zapytując, co to ma znaczyć? Generał odpowiedział, że mając za sobą 30 tysięcy Moskali i straciwszy możność przejścia do Polski, nic nie pozostaje dla uratowania oddziału jak oddać się w ręce Prusaków. Ze smutkiem wrócili oficerowie do swoich części, a w godzinę potem Chłapowski na czele 1 ułańskiego pułku i części artyleryi przekroczył granicę; reszta oddziału jego pozostała na litewskiej ziemi, wahając się czy zrobić ten krok rozpaczliwy.

Szirman, niewiadomo po co, zatrzymał się w Płungianach; tam przebył dzień cały, rozkazawszy tylko pułkownikowi Bartolome z jednym i pół batalionem piechoty, 1 szwadronem konnych pionierów i 2 działami z Połągi przejść do Gorżd.

Roland w nocy 12 lipca, przeszedł Retowo i Kule i zbliżył się do pruskiej granicy. Dilenshauzen i Ofenberg idąc za nim dość daleko, skierowali się przez omyłkę za obozem, który Roland wysłał w prawo po innej drodze. Dowódcy żmudzkiego powstania Stankiewicz, Kalinowski i Grużewski, widząc, iż wszystko stracone, a niechcąc iść do Prus, oddzielili się w czasie marszu do Kul i rzucili się do lasów, żeby w nich prowadzić dalej partyzantkę.

Otrzymawszy wiadomość, że w Płungianach już są Moskale, i że od strony Połągi zbliża się oddział nieprzyjacielski, Roland skierował oddział swój ku Gorżdom. Tu dowiedziawszy się, że Chłapowski już przeszedł granicę, zwołał radę wojenną, na której zdecydowano nie zwracać uwagi na innych, a dążyć ku granicy polskiej. Lecz już było zapóźno, gdyż Moskale otaczali go ze wszystkich stron. Główne siły ich już były w Worniach, Dylenshauzen w Retowie, Ofenberg szedł ku Wiwirżanom; Szirman dążył za Rolandem i zabrał cały obóz jego zawierający w sobie także majątek uciekających Litwinów. Dilenshauzenowi udało się odciąć część wojska z kolumny Rolanda, wziąć dwa działa i uwolnić kilku oficerów moskiewskich wziętych w niewolę.

Przytoczymy opisanie przejścia przez granicę oddziału Chłapowskiego i śmierci Giełguda, wyjęte z pruskiej gazety wydawanej w Memlu:

„12 lipca około północy otrzymano oficyalną wiadomość, że w południe polskie wojsko pod dowództwem Giełguda i Chłapowskiego przeszło w części za granicę i rozłożyło się obozem. Dowódca tutejszego kordonu, landrat, urzędnik cłowy i jeszcze kilku innych, udali się na miejsce o 4 z rana i znaleźli część wojska pod dowództwem generała Chłapowskiego, składającą się z 700 kawaleryi i 8 dział na pruskiem terytoryum, piechotę zaś na litewskiej ziemi jeszcze, lecz tuż nad granicą, która w tem miejscu oznaczona jest drogą. Prusey urzędnicy od Giełguda, Chłapowskiego i oficerów sztabowych dowiedzieli się, że zmuszeni do odwrotu przed przeważnemi siłami nieprzyjaciół, nie mając dość prochu i nabojów, na radzie wojennej zdecydowali się szukać przytułku w Prusach z przekonaniem, że znajdą w niej ludzkie przyjęcie. Przyczem wszyscy oficerowie głośno mówili, że Giełgud był niezdolny na głównodowodzącego, ostremi wyrazami sądzili czyny jego i chwalili wojenne talenta Chłapowskiego. Ze wszystkiego było widać, że w wojsku już nie istniały porządek i dyscyplina. Nie przekonawszy się, czy rzeczywiście Moskale zmusili Polaków przejść przez granicę, niepodobna było natychmiast pozwolić przejść na naszą ziemię, tem więcej, że za wyjątkiem rannych wszystkie wojska stały w bojowym porządku. Dowódcy oddzielnych części umawiali się to z Giełgudem, to z Chłapowskim i dla tego piechota nie przechodziła przez granicę; oprócz tego oczekiwano przybycia oddziału Rolanda. Generał Chłapowski kazał oddziałowi swemu złożyć broń do kupy. W tej chwili otrzymano wiadomość, że znaczne siły nadciągają ze strony Krytyngi. Giełgud nie życząc sobie, żeby wojska zmuszone były przechodzić granicę w czasie boju, dał rozkaz, żeby piechota natychmiast przeszła przez granicę i broń złożyła w jedno miejsce. Dokonano rozkazu około pierwszej po południu przy nadzwyczajnem niezadowoleniu i oburzeniu żołnierzy. Chłapowski widząc to, odzywał się do otaczających, że działa według rozkazu Giełguda, którego słuchać jako żołnierz jest obowiązany. Ułani jego złożyli piki w kupę, a artylerzyści karabinki w kozły. Słyszeliśmy, jak niektórzy mówili, że Giełgud kazał w czasie marszu wyrzucać ładunki i naboje, żeby odebrać od żołnierzy wszelką możność obrony. Niektórzy, złożywszy broń, chcieli brać ją na nowo; tylko artylerzyści zachowali się spokojnie. Wkrótce po drodze z Gorżd pojawiły się wojska, które, jak okazało się, nie były moskiewskie, a należały do oddziału generała Rolanda. Zbliżenie się oddziału tego w wojsku Chłapowskiego wywołało wielkie wzburzenie. Mnóstwo ułanów z 1 pułku, 4 działa konnej artyleryi Czetwertyńskiego, większa część oficerów sztabu Giełguda schwycili broń znowu

i przyłączyli się do oddziału Rolanda. Chłapowski namawiającym go do zrobienia tegoż odpowiedział: „faites, ce que Vous voulez, moi je reste“. (Dok. nast.)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

(Ciąg dalszy.)

Kairo jak tyle fantastycznych miast wschodnich, posiada domy o płaskich dachach zdobne w wieże, wieżyczki niższe i balkony w tysiączne różnobarwne arabeski; szyby w oknach zastępuje drobniutka drewniana kratka, tak delikatna, że raczej siatkę przypomina, wązkie uliczki kręte a ciemne bez trotoarów, dla panujących upałow po większej części z wierzchu grubem płótnem kryte; od domu do domu rozciągnięte sznury, na których suszy się bielizna, oto pierwsze wrażenia, które nasuwa Kairo. Ścisk i wrzawa pieszych, poważne stąpanie wielbłądów i tentent prześlicznych arabskich koni, huk powozów poprzedzanych biegnącym w cwał murzynem, który toruje jadącym drogę, wołając „Guarda“ lub „Oa“, (baczność), mnóstwo osłów z dzwonkami, rozmaitość strojów, różnobarwnych turbanów, kapiących od złota ubiorów wschodnich obok wstrętnych łachmanów Fellacha, iście odurzająco działają na nienawykłych do tego widoku.

A wśród tego różnobarwnego i różnojęzycznego tłumu, gdzieniegdzie ulicą przesuwa się jak cień kobieta o zakrytej twarzy w czarnym płaszczu, milcząca i poważna jak kamienna statua, która zdradza życie jedynie przez błysk oczu, co jak dwa karbunkuły świecą w otworach zasłony.

Rodowici Egipcyanie tak mężczyźni jak i kobiety, muszą być tatuowani; czoło też ich i brodę zdobi bukiecik kolorowy, a wydłużone sztucznie brwi i farbowane paznogcie dopełniają reszty sekretów toalety egipskiej. Gdy dodasz do tego roznosicieli wschodnich fruktów i wody w torbach z kozich skórek; kilka pysznych pałaców obok brudnych lepianek — bulwar paryski obok cuchnących zaułków, łatwo już sobie dopełnisz ogólnego szkicu Kaira.

Mimo to jednak, śliczny jest widok Kaira z cytadeli panującej nad niem na wzgórzu. Wysmukłe minarety, wspaniałe i zbytkowne pałace, czarowne ville rozrzucone wśród zieleni gajów palmowych, poczerniałe wieżyce grobów dawnych Kalifów, i wstęga Nilu wijąca się przez urodzajną płaszczyznę, nareszcie góry Makatumu i gorące piaski pustyni, służą za ramy temu wspaniałemu obrazowi, który na długo przykuwa wzrok do siebie. Nie dziw też, że mimo zgiełku, mimo dotkliwych promieni palącego słońca, mimo innych niedogodności, spokój i swoboda owłada całem jestestwem człowieka, i mniej tu jak gdzieindziej potrzeba czasu, by się znaleźć à son aise. Gdyby nie przykry przystęp przez kilkunastosążniową wązką i błotną uliczkę, prowadzącą do wskazanego nam „Hotel du Nil“, na niby się tu skarżyć nie można, gdyż od razu stajesz w dziedzińcu pod cieniem palm i kwiecia, wśród zieleni rozkosznych bluszczów i innych krzewów, na których skaczą małpki, które nieraz wydarły cukierek z rąk moich. W pośrodku wznosi się pawilon z fortepianem i rozmaitymi dziennikami europejskimi, z wielkim komfortem urządzony przez właściciela hotelu, pana Friedmana, który aż tu szukał materyalnego bytu i zarobku. Do table d' hôtu siadało nas dziennie około stu osób rozmaitej narodowości, między któremi najbardziej interesującą osobistością był książę Meklenburg, który pierwszy z podróżników-amatorów dotarł aż do Wadi-Halfa, w głębi Afryki.

Wiadomo, że Anglików i Polaków spotyka się wszędzie na kuli ziemskiej z tą różnicą, że pierwsi puszczają się w świat dla zabicia nudów, drudzy, zmuszeni okolicznościami, aż w głębi piasków pustyni afrykańskiej szukają oparcia dla siebie. Codziennie, w przedsionku hotelu siadywał staruszek z synem, sprzedając batożki i laski wyrobione ze skóry hipopotama; czamarka i poczciwa twarz polska zdradziła od razu narodowość staruszka. W istocie, był to niejaki Koncewicz, wychodźca z Kongresówki, już od lat wielu osiadły w Kairo, i z braku innych wiadomości, trudniący się tem nie bardzo popłatnym rzemiosłem. Rozpłakał się, gdym do niego przemówiła po polsku, a ja nawzajem bolałam, widząc, że syn jego już zupełnie zapomniał ojczystej mowy...

Niegdyś, bardzo wielu suchotników przepędzało tu zimę; tym razem jednak musieli zasobów na resztki życia szukać głębiej na południu, gdyż utrzymują wogóle, że klimat Kaira zmienia się tak dalece, że na rok przyszły myślą o stawianiu pieców. Inni przybywają tu, by wśród takiego napływu cudzoziemców szukać fortuny i szczęścia. Przez dziesięć dni byłam świadkiem intryżek odbywających się vis à vis przy śniadaniu i obiedzie: dwie Angielki, panny entre deux ages, wabiły zręcznie młodego Brytyjczyka, siedzącego opodal, zabawiały sąsiadów i służbę obojętnem na pozór kokietowaniem, wreszcie kazały kelnerom uplasować swego kompatryotę koło siebie. Codziennie pąsowa świeża róża zdobiła ich kibić, w kilka dni gorąca miłość zajęła miejsce róży, a nareszcie ktoś z przyjaciół ostrzegł panny, że jegomość ma żonę w Aleksandryi i przybył za interesami!... Zresztą trzeba przyznać, że były to nader światowe i przyzwoite osoby, których trudno tak bardzo winić za to, że chciały zrzucić ze siebie nieznośny im celibat.

Kairo obfituje w cafés chantants, lecz nie są to zakłady tego rodzaju i komfortu co w Europie; przedewszystkiem towarzystwo stanowią sami Grecy i Arabowie, kobiet żadnych prócz usługujących kelnerek i występujących śpiewaczek. Z obawą powraca się o późnej godzinie do domu, aby nie być napastowanym w drodze; nadewszystko z Grekami w dłuższą poufniejszą rozmowę wdawać się nie jest dobrze, bo po chwili bez ceremonii zabiera bifstek z talerza sąsiada, jeżeli ten mu więcej do gustu przypadnie, jednem słowem szuka zaczepki. Teatr jest własnością Kediva, on utrzymuje operę i balet, który przewyższa paryski, a nawet słynny warszawski. Z wielkim moim żalem nie dawano tu ani razu „Aidy“, opery, która w miejscu jej urodzenia, w całym blasku dekoracyi i kostiumów musi odrębne robić wrażenie. „Otello“ i „Maria di Rohan“ znane mi dawniej, chwilami tylko zwracały moją uwagę, która cała była skoncentrowaną ku lożom pierwszego piątra, w których siedziały żony królewskie i paszów. Zasłona tiulowa, w deseń rzęsisty, zakrywała całkowicie owe loże, gdzieniegdzie przedarta dziura zdradzała ciekawość biednych niewolnic. Z pomocą szkieł można wyraźnie dostrzedz ruszające się cienie, błyszczące brylanty i jaskrawe szaty odalisek; one też mało sceną były zajęte, pożerały oczyma publiczność, ku której ciągle obracały piękne swe twarzyczki, jeżeli można pięknemi nazwać blado różowe maseczki, bez najmniejszego wyrazu, który nadaje zwykle tyle uroku twarzy kobiecej. Naprzeciw w lożach mężowie w poufało-upodlającej przyjaźni z eunuchami... Zaiste do najwyższego stopnia oburza ta publicznie okazywana wdzięczność stróżom biednych ofiar mężowskich fantazyi, za wierne wykonanie poleconego im obowiązku!

Wyższego świata kobiety poczynają się po trosze emancypować; wprawdzie osłania je jak inne gazowa draperya, atoli przez pajęczą siatkę najdokładniej rysy twarzy i wdzięczną ich kibić podziwiać można.

Jeżeli żona paszy — starego autoramentu— wyjeżdża karetą na spacer*), to czarny eunuch towarzyszy jej na koźle z nabitymi pistoletami, mając prawo strzelać do każdego, ktoby odważył się zajrzeć do wnętrza pojazdu. Ale... o ile słyszałam, spryt pięknych Egipcyanek wynajduje tysiące sposobów na ułagodzenie srogości swoich czarnych cerberów.

W piątek, jako w dzień świąteczny u Mahometan, na drodze prowadzącej do tak zwanych ogrodów królewskich, odbywa się podobnie jak w wiedeńskim Praterze, wystawa najwytworniejszych ekwipaży, poprzedzanych w miarę godności swych właścicieli, mniejszą lub okazalszą świtą; prócz tego defilada wielu europejskich Amazonek, z których niejedna skromnie na osiołku paraduje. Na takim rumaku i my galopowaliśmy, nie tracąc bynajmniej fantazyi i serdecznie używając tych wschodnich rozkoszy i tej bezgranicznej wolności poruszania się, o jakiej wy tam w Europie nie macie nawet wyobrażenia.

Ów ogród królewski, Szubry zwany, jest dość rozległy, lecz całą piękność swoją zawdzięcza jedynie naturze, rozbudzonej klimatem południowym. Pomijam pomarańcze i cytryny, bo z temi już się oko oswoiło, ale te aleje z drzew datury uginających się pod kwieciem woniejących białych kielichów, te platany, około których wije się jakiś bujny krzew o krwawo-czerwonym liściu; iście czarodziejski wywołują efekt...

W środku miasta na placu, który przed kilkudziesięciu laty był wstrętnem bagniskiem, znajduje się również piękny w angielskim smaku utrzymywany ogród, który wszystko posiada, co tylko do urozmaicenia wymyślić można: sztuczne skały, fontanny, szumiące kaskady, słowem mnóstwo dziwów, prócz, zgadnijcie czego? prócz trawy. Pomimo starannych zachodów i polewania wodą, rajgras nie może się utrzymać; samo prawo natury zda się, że nie dozwala wicekrólowi naśladować trawników Tuilleryjskich; co go nie małą rozpaczą przejmuje...

Co piątku, doborowa muzyka europejska wygrywa rozmaite fantazye; więcej jednak nęci ku sobie muzyka turecka, która w kilku kawiarniach, rozrzuconych po ogrodzie, przygrywa jakieś rzewne jak u ruskiego ludu melodye. Orkiestrę taką składa gitara, kilka delikatnych piszczałek i śpiew solowy, który opiewa tylko miłosne sceny. Po odśpiewaniu każdej takiej strofy, Arab nie biorący udziału w śpiewie, ale mimo to należący do orkiestry i stanowiący niejako jej echo, wydaje okrzyk podziwu A-a-aaaa! Publiczność przysłuchuje się koncertowi, popijając gęstą turecką kawę i paląc ulubione nargile.

---

*) Karety żon takich zacofańców, w miejsce szklannych okien, opatrzone są gęstą kratą drewnianą.

Na tym samym placu Esbekich pokazują dom różowy, a w którym przebywał w r. 1798 Napoleon I.; naprzeciw rośnie palma, jego, jak mówią, ręką zasadzona. Wogóle, pamięć wielkiego cesarza w niezmiennej jest czci u Arabów.

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka Wenecka.

(*Ciąg dalszy.*)

W obrazach owych pierwotnych mistrzów, występuje karnacya tylko dość jednostajną bursztynową barwą, pozbawioną życia. Bogactwo szat bardziej ćmi, i ono to czyni te obrazy widniejszemi, od doskonalszych może, współczesnych florentyńskich dzieł.

Giovani Bellini, Wenecyanin, umiał już pod koniec piętnastego wieku nadać życie miękkiej i bursztynowej karnacyi. Podobnie jak poprzednicy jego weneccy tworzył i on głównie a prawie wyłącznie Madonny. Różnią się one jednak wybitnie od wszystkich innych Madon, czy to dawniejszych, czy to współczesnych i odznaczają się nietylko bursztynową karnacyą, i nietylko barwnością szat, od której Bellini już wykluczył nieżywotną pozłotę — ale nadewszystko ziemskiem życiem.

Bardzo daleko owym Matkom boskim do idealnej piękności. Zdaje się nawet, że panował z końcem piętnastego stulecia w Wenecyi dziwny zwyczaj portretowania się w postaci przenajświętszej panny — i ztąd poszło, że wiele jest zupełnie brzydkich Madon Belliniego. Miewają płaskie nosy i ziemsko tłuste wargi — mają wszystkie wiele bardzo sił żywotnych — z wyjątkiem jednej może, a wabią widza głównie barwą — a przy bliższem rozpatrzeniu się wyrazem ziemskiego, ale pełnego szczęścia. Pełne bursztynowe lice płonie spokojnie wśród szat niebieskich — a nieregularne rysy rozświecone prostym spokojem cnotliwej a zupełnie szczęśliwej niewiasty.

Tych Madon jest pełno w Wenecyi. Mówiliśmy, że jedna z nich nie cieszy się zbytkiem zdrowia. Znajduje się ona w zakrystyi kościoła San Redemptore. Ze stojącem dzieckiem w ręku odmalowana w pół całej długości między świętym Janem i świętą Katarzyną. Przyobleczona w zwyczajne błękitne szaty Maryi, ma nieregularne rysy i płeć młodziutkiej, zdrowej wprawdzie, ale delikatnej mężatki. Duże słodkie oczy patrzą przed siebie jakby z niepokojem zwyczajnym, choćby w najszczęśliwszej młodości, gdy szlachetnie o przyszłości marzy. Dziecko, trzymane w białej a delikatnej rączce, jest szlachetne, zdrowe a brzydkie.

Takie kobiety, jak owa Madonna i w życiu i na płótnie zwykły powszechną budzić sympatyą. Choć niepiękne, przyciągają wyrazem miłym i blaskiem wielkich oczu, z których wygląda niby niewinna a kochająca dusza. Wiotkość ich i słabość budzi obawę o los biednych istot, narażonych w przyszłości na tyle prób i zawodów. Słabość ta ich, łagodność i teraźniejsze a kruche szczęście każą je kochać — każą z niemi współczuć.

Ale malarz nie zostawił wiotkiej istoty bez obrony. Potężne i spokojne postacie stanęły przy boku jej, gotowe do obrony i pociechy. Tu widać świętego Jana, młodzieńca długowłosego, dzierżącego w ręku rószczkę męczeńską, tam stanęła święta Katarzyna. Oni przez Boga dla straży Maryi przysłani. Marya ma kiedyś drżeć przed krzyżem, a święci będą ją podtrzymywać wtedy.

Obraz ów uważany jest za arcydzieło Belliniego. Doszedł on już do wielkiej doskonałości technicznej. Wenecka szkoła doszła jednak dopiero na początku szesnastego wieku do najwyższego szczebla doskonałości. Palma starszy i Giorgione di Castelfranco pozbyli się już wszelkiej sztywności i rozwinęli na dobre czar weneckiej barwy. Mistrze to wielcy, jakich rzadko późniejsza Europa wydawała, a my jednak krótko tylko o nich pomówimy.

Z dwu wymienionych stanął Palma niżej. On jednak zupełnie już był świadom przyszłego kierunku szkoły, i był w Wenecyi tem, czem Lucca Signorelli był we Florencyi. Przypatrzymy się jemu w kościele Santa Maria dei Miracoli w Wenecyi i w galeryi drezdeńskiej.

Piękna Greczynka, nieco otyła, idealnie piękna, której wieku oznaczyć nie podobna, ulatuje nad jakimś dalekim krajobrazem w kościele Maryi cudownej. Piękne fałdy czerwonej szaty wskazują, że leci, a lekki płaszcz zielony odbija jaskrawo od czerwoności. Lot ten bez skrzydeł cud nam zwiastuje, palma w prawicy prawi, że to chrześciańska męczennica — zresztą rzekłem już, jest to grecka bogini, pojęta tak, jak ją Hellada pojmowała, tylko może z ciałem rozkoszniejszem nieco, i pełniejszem i bardziej zmysłowem.

Palma tedy wierzył w tę samą piękność, co przed wiekami Fidyasz. Tylko był malarzem, a nie rzeźbiarzem i po malarsku myśl swą wyraził, po malarsku piękno pojąwszy. Nie o drobne tętna ciała, nie o falowanie szat mu chodziło — chciał tylko aby kształty greckie w niczem uczucia piękna nie raziły, a nie dbał o ich pilne wykonanie — nie wywoływał nawet złudzenia życia. Rzucił wielkie barwne plamy szat, odsłonił pierś szeroką, na której cielista barwa płonie, i owiał greckie czoło złotemi włosami. Wyrazu tu nie masz, gdy się bliżej wpatrzysz, nie masz życia, ale gdy zrazu wstępujesz do kościoła, widzisz jaskrawe plamy barwy, płonące i migotliwe i ogólne widmo rozkosznej helleńskiej bogini. Obraz to stworzony tylko na to, aby zdobić kościół — nie na to, by się jemu przypatrzono i nie na to, by barwy i linie myśl jaką wyraziły albo uczucie jakie wzbudziły.

I we Florencyi tworzono obrazy, w których o drobne szczegóły nie dbano, i w których widać było tylko wielkie linie i wielkie masy barwy. Podobnież tylko wielkie linie i barwy jaskrawe widać na obrazach Palmy. Tak jak Florentczyk Masaccio, tak i Wenecyanin Palma nadawał swoim postaciom wielkie ciała i nieludzkie już i nie pospolite, jedno boskie i idealne rozmiary. A jednak nikt tak daleko jak Palma nie odbiegł od Florentczyków.

W Toskanie barwa służy na to tylko, by uwydatnić linię, i by ją wyraźniejszą uczynić — tu przeciwnie, linia barwę tylko w ład i kształt ujmuje, a barwa rzeczą główną; chodzi o to, aby połyskiwała, aby jaśniała, aby tworzyła śmiałe i miłe kontrasta. W Toskanie ciała ludzkie tworzono silniejszem niż było w rzeczywistości, i lubowano się przedewszystkiem w postaciach męskich. Tu nadawano ciało pozory miękkie i rozkoszne, i obnażano piersi kobiet na to, by je przyoblec miękką i pulchną karnacyą. W Toskanie nie od razu i w twarzach oddano grecki ideał, i często nawet krzywiono rysy, chcąc tem nadać wyraz myśli i rozumu. Tu Palma od razu grecki typ w pełnej czystośc wskrzesił, ale rad odtwarzał pulchne gładkie rysy niewiast, na których mieniące się rumieńce całusu żądały.

Kto się o tem przekonać pragnie, ten niech do Drezna jedzie, i niech spojrzy na owe sławne córy Palmy, niedbale rysowane, prawie nie cieniowane, klasycznie piękne, bezmyślne, rozkoszne, o rozpuszczonych włosach, i czarownych barwach; albo niech się przypatrzy nagiej i otyłej Wenerze, co legła na sofie i usnęła. Jest to wielka plama jasnej barwy, objęta przez linie zbyt zmysłowe na to, by mogły być klasycznie pięknemi.

Giorgione pilniej wykonywał szczegóły swoich obrazów. Portret Lukrecyi Bordżyi w galeryi Lichtenstein w Wiedniu jest już wielce starannie wykonany, i rodzi bardzo silne złudzenie. Robi tedy silniejsze wrażenie od obrazów Palmy. Widać jednak, że i Giorgione w jednym z Palmą źródle czerpał natchnienia, bo i tu przedewszystkiem jasna pulchność ciała świeci i płonie, i tu włosy uderzą widza — a prócz tego i czarny aksamitny stanik lśni dziwną barwą. Stanik ten bardzo wycięty, prócz tego nad piersiami rozwarty i dzięki temu widać jeszcze większą część owej białej karnacyi na piersi, o którą artyście chodziło. Na to, by jak najwięcej tej zmysłowej barwy wylać na płótno, pogwałcono tu w niejednej rzeczy i prawidła idealnego piękna, i podobieństwo do znanego nam zkądinąd pierwowzoru. I szyja i pierś szersze, niżli to być powinno, i niżli być może, nawet przy tak dobrej tuszy, jak tusza tego portretu.

Chodziło o to tylko malarzowi, by zmysły podrażnić barwą — i skutek osiągnięty, dzięki świecącym kolorom i silnemu złudzeniu. Obraz ten silnie charakteryzuje kierunek weneckiej sztuki, która niedaremnie tak bardzo pozytywistę Taina przyciągała, ale niezupełnie charakteryzuje dziwnego malarza, z którym się lepiej może poznamy zaraz w drugiej wiedeńskiej galeryi, w Belwederze. Są tu dwa niewielkich rozmiarów a bardzo cenne obrazki, z których cały duch Giorgione'go patrzy. Na jednym widzimy kobietę bardzo piękną i wcale niezbyt otyłą, istną boginię Fidyaszową, z rozpuszczonym włosem, w białej koszuli, z natchnionym wyrazem twarzy i ze sztyletem wprost przeciw piersi zwróconym, a ujętym przez silną lubo niewieścią, a obnażoną rękę. Twarz i szyja ukryte w półcieniu, ale głowa blada i zmysłowa pięknego zresztą a chudego mężczyzny, wygląda z tyłu, z po za szyi, w zupełny już cień zanurzona. Oczy głowy tej się iskrzą, usta na pół rozwarte drgają namiętnie i wszystko świadczy, że zła myśl siadła na wybladłem i lubieżnem czole. Widać tu prawie tylko popiersie obudwu postaci, a jednak nie potrzeba ci zajrzeć do katalogu galeryi, by zrozumieć, o co malarzowi chodzi. Każdy pozna, że ma przed sobą ową rzymską jeszcze Lukrecyą i młodego Tarkwiniusza; że królewicz namiętnie znieważa, i że natchniona Rzymianka chce śmiercią swoją wolność ojczyzny okupić. Myśl to na poły lubieżna a na poły wzniosła, wylęgła w głowie człowieka żyjącego w zmysłowej Wenecyi, wśród odnowionych wspomnień klasycznej republikańskiej cnoty. Ale wykonanie jest tu przedewszystkiem wybitne. Biała koszula wychyla się z półcienia i lśni pełnym blaskiem; za nią widać białe szyje i twarze za-

nurzające się w coraz głębsze cienie. Aby malować twarz Tarkwiniusza musiano ciemno szarej farby użyć — a jednak czujesz, że to twarz biała zanurzona w cieniu. Wszystkie tu prawie przedmioty jednakowo białe, a całą sztuką malarza to, że przedstawił białość tę, tylko gdzieniegdzie lekką bursztynową barwą okraszoną, tak w pełnem świetle jak i w głębokim cieniu, dbając o każdy odcień, uwydatniając każde drgnięcie farby na ludzkiem ciele. Podobnie jak w gmachach Sansovina, tak i tu umiejętnie obmyślane stopniowanie światła i cienia cały urok dzieła sztuki rodzi.

Drugi, nie daleko w Belwederze zawieszony obraz, inaczej znowu światłem igra. Obraz to podobnych rozmiarów co poprzedni i przeznaczony jeden z nim pokój zdobić. Pancerny, gwałtownie opalony rozbójnik, obrócony do nas plecami, trzyma w czerwonem prawie ręku sztylet, z tyłu za sobą, a prawicą chwyta za szyję młodego poetę w wawrzynowym wieńcu, o białem ciele i szlachetnych rysach. Przedmiot tu nie zrozumiały, ale i nie o przedmiot chodzi. Chodzi najpierw o kontrast między czerwonemi karnacyami zbója, obróconego plecami do widza, u którego szyja i ręka płoną w pełnem świetle, a bladą zanurzoną w cieniu twarzą poety. Chodzi przedewszystkiem o pancerz stalowy, na którym światło dzienne lśni w postaci wielkiej plamy, wśród zwierciadlanej szarości stali. Wenecyanin Giorgione rad gonił za mieniącem się światłem.

Wszystkie zalety Wenecyan, wszystkie ich cechy charakterystyczne posiadł w najwyższym stopniu Tiziano Vecellio da Cadere, zazwyczaj po polsku Tycyanem zwany, mistrz, który w pierwszej połowie szesnastego wieku działał. Na jego to przedewszystkiem dziełach ujrzymy, w czem Wenecyanie szukali piękna.

Tycyan malował Madonny, portreta, studya nagie i wielkie kompozycye przeważnie religijnego charakteru. Zaczniemy od tego, co Tycyana może najwięcej wśród malarzy odrodzenia uwydatnia, od studyów nagiego ciała.

Najznakomitsze pod tym względem dzieła Tycyana, są to Wenery we florentyńskiej Trybunie i w Dreźnie i św. Jan chrzciciel w akademii sztuk pięknych w Wenecyi. Wenera we Florencyi legła na bogatej sofie pod kotarą barwną, z po której wygląda zielony zacieniony krajobraz. Choć jest rozmaitość barw w tem tle, barwa zielona i to ciemno zielona przeważa. Barwa ta z przyczyn fizycznych odświeża wzrok i tworzy przeto tło miłe dla obrazu. Od tego tła odbija jaskrawo róża leżąca na sofie. Jest także prawem fizycznem, że dwie barwy wytwarzające w zmięszaniu barwę białą, tworzą w zestawieniu miły lecz jaskrawy kontrast. Takie kontrasta wywołują zestawione barwy czerwona z zieloną, żółta z fioletową i pomarańczowa z niebieską. Dzięki owej róży tedy wyraźniej i świeżej jeszcze rozwielmożnia się ciemno-zielone tło, a dzięki zieloności jaskrawiej i wdzięczniej występuje róża.

Wiemy już, że obok kontrastu barw bywa kontrast oświeceń potężnem, a wyłącznie prawie przez Giorgionego używanem źródłem efektów kolorytu. To też i tu róża owa, oblana światłem, odbija wyraziście od tła ciemnego. Bijąc w oczy uwydatnia bardziej jeszcze ową miłą zieloność zastępującą u Tycyana pozłotę Vivarinich, z której występuje kąpiąca się w fali bursztynowego światła postać pogańskiej bogini. Legła naga, twarzą i całym przodem ciała zwrócona do widza, z głową opartą o bogato wyszywaną poduszkę i z ręką prawą, spoczywającą na własnym boku, a z lewicą spuszczoną od niechcenia ku róży. Bogaty czarny włos spływa z jej głowy a piesek kurlandzki biały i bronzowy spoczął u jej stóp. (C. d. n)

DALEKIE ŚWIATY.

POGADANKI NAUKOWE

przez

BRUNONA ABAKANOWICZA.

NA KSIĘŻYCU.

Co się dzieje na naszym najbliższym sąsiedzie?

(*Dokończenie* *).

Lecz oko nasze nie długo by zdołało wytrzymać jasności rażącej widoku, któryby zresztą i tak był przykrym dla naszego oka, gdyż nie ma tam najmniejszej perspektywy powietrznej. I bliskie i odległe przedmioty przedstawiają się nam w wyraźnych zarysach i najodleglejsze załomy gór są najdokładniej widzialne i niepokryte jak u nas siną zasłoną. W pejzażu księżycowym jest jeden plan tylko i dla tego trudnoby nam bardzo było zoryentować się w odległościach. Nie ma owego zabarwienia, które nadaje w pejzażach miękki ton przedmiotom, które zabarwia i rozżarza nasze góry przy wschodzie słońca, a które mistrzowie pędzla tak znakomicie odtwarzać umieją. Mamy na księżycu wszędzie światło jednakowe, bezbarwne, jaskrawe, nie mające żadnych odcieni, nie licząc ma się rozumieć tych, które pochodzą od zabarwienia samej powierzchni księżyca.

Jeżeli zachęceni dziwnymi widokami, zechcemy bliżej się zapoznać z budową powierzchni księżyca i udamy się na szczyt krateru, to przedstawi się nam nowy a bardzo pouczający widok, z którym się bliżej, dla lepszego zrozumienia historyi naszego sąsiada zaznajomić musimy. Wędrówkę naszą odbywalibyśmy po powierzchni księżyca, mimo całej jej nieregularności z dość wielką łatwością. Gdybyśmy raptownie zostali przeniesieni na księżyc, to uderzyłaby nas tam przedewszystkiem swoboda, z jaką się ruszać możemy. Moglibyśmy tam z wielką łatwością przesadzać wielkie rowy i podskakiwać w górę do 30 stóp wysokości. Pochodzi to ztąd, że siła ciążenia, siła, która powoduje, iż kamień z naszej ręki wypuszczony upada na ziemię, jest na księżycu *sześć* razy mniejszą niż na ziemi. Siła muskularna, która na powierzchni ziemi wystarczyłaby do podskoczenia o 5 stóp w górę, zdołałaby na księżycu podrzucić ciało człowieka do stóp 30tu.

Lecz wróćmy do naszego przedmiotu i przypuśćmy, żeśmy się wdarli na szczyt olbrzymiego wału, otaczającego wygasły krater na księżycu. Oczom naszym przedstawi się rozległy widok niezamącony żadną mgłą, żadną chmurką. Przedmioty odległe o mil kilkanaście przedstawią się z nadzwyczajną dokładnością. Przekonamy się, że wał, na którego grzbiet wydrapaliśmy się, tworzy olbrzymi pierścień otaczający kotlinę głęboką, lecz prawie poziomą u spodu. Jest to po prostu płaszczyzna otoczona olbrzymim walcem gór. Pośrodku tej płaszczyzny wznosi się stożkowata góra, w samym prawie środku otaczającego wału. Ta góra środkową jest właściwym kraterem, i w jej środku mieści się czeluść, przez którą przed wiekami wybuchało rozpalone jądro księżyca. Przez tę czeluść wyleciały także ongi i bryły skał, z których się utworzył wał otaczający ten krater środkowy. Możemy sobie wyobrazić, z jaką siłą wylatywały lawa i popioły z tej czeluści, skoro tylko przypomnimy sobie, że siła ciążenia na księżycu jest sześć razy mniejsza niż na ziemi, że więc kamienie wyrzucone z krateru księżycowego z taką siłą, jak z jakiegokolwiek krateru ziemskiego wznosić się mogły na wysokość sześć razy większą niż nad powierzchnię ziemi. Olbrzymie masy wyrzucone z wnętrza księżyca przez krater, leciały bardzo wysoko, rozpościerały się w chwili upadku wachlarzowato i utworzyły właśnie spadając ów wał olbrzymi. Skoro z czasem siła wybuchu zmniejszać zaczynała, już lawa nie wylatywała w górę, lecz wypływała powoli z krateru i twardniejąc utworzyła ów środek stożkowy. Lecz do tego przedmiotu wrócimy później mówiąc o dziejach naszego satellity.

Krater, któryśmy opisali, jest charakterystyczną formacyą na powierzchni księżyca. Takich kraterów spotykamy wielkie mnóstwo na całej jego powierzchni, poczynając od olbrzymich, których wał pierścieniowy ma kilkadziesiąt mil średnicy, a kończąc na małych, zaledwie w teleskopach dostrzegalnych.

Że takie wały pierścieniowe i kratery są charakterystycznymi dla księżyca, możemy się najlepiej przekonać, przypatrzywszy się przez teleskop powierzchni naszego towarzysza. Widzimy wtedy w powiększeniu całą jego tarczę usianą takiemi wygasłymi wulkanami. Nie można sobie wyobrazić coś cudowniejszego, jak widok księżyca przez dobry teleskop. Najlepiej do takiej obserwacyi wybrać sobie czas, kiedy tylko niewielka część księżyca jest oświeconą, bo wtedy cienie rzucane przez góry są długie, i wszystkie wypukłości występują z wyraźnym reliefem. Do najprzyjemniejszych chwil życia zaliczam te, kiedy po raz pierwszy wśród spokojnej nocy mogłem przez teleskop podziwiać ten świat umarły, widzieć jego góry i wulkany, oblane bladem światłem i cienie rozciągające się na równinach. Nigdy jeszcze widok najpiękniejszego utworu sztuki tak mię nie zachwycił, nigdy jeszcze nie czułem tak silnie piękności dzieł przyrody, jak gdym przypatrywał się jaskrawie oświeconemu sierpowi księżyca.

A ileż myśli najrozmaitszych nasuwa nam takie rozpatrywanie, ile wniosków zrobić możemy o przeszłości naszego towarzysza, pozwalając fantazyi wspartej doświadczeniem zebranem na powierzchni naszej ziemi, puścić swoje skrzydła. A nie trzeba na to wielkiego wytężenia tej fantazyi, dość jest zestawiwszy wszystkie kształty, które na powierzchni księżyca spotykamy, wyprowadzić drogą logiczną wnioski, tyczące się powstania tych kształtów.

Powierzchnia księżyca jest jedną kartą z historyi wszechświata, medalem pamiątkowym, na którym każda zmiana, którą przechodził, wybiła swoje piętno. Trzeba tylko umieć czytać w tych wszystkich napisach, żeby się dowiedzieć o historyi naszego satelity, poczynając od chwili jego powstania, ginącej w pomroce czasów.

Z powodu wielkiej bliskości księżyca, powierzchnia jego została najstaranniej ze wszystkich ciał niebieskich zbadaną, i przekonano się, że jest to jeden z światów, który już przeszedł wszystkie główne fazy życia, wszystkie zmiany gwałtowne i jest już obecnie w chwili zupełnego prawie spokoju — spokoju śmierci.

*) Patrz nr. 38.

Księżyc jest synem ziemi w pełnem znaczeniu tego słowa, lecz jest synem, który się przedwcześnie zestarzał i jest w stanie zupełnie zgrzybiałej starości, może nawet i śmierci. Kiedyś kula ziemska była jeszcze płynną, roztopioną masą, obracającą się jak dzisiaj około swej osi. Od tej masy wskutek szybkiego obrotu oderwała się jedna cząstka i utworzyła naszego towarzysza w przestrzeni niebieskiej. Księżyc więc jest niczem innem jak tylko kawałkiem oderwanym od ziemi, jest jej synem. Lecz ponieważ masa jego jest mniejsza, więc prędzej zdołała ona ostygnąć i prędzej niż ziemia dożył księżyc swej starości.

Otóż wróćmy do chwili, kiedy księżyc był jeszcze w stanie rozpalonej, płynnej masy i przypatrzmy się w jaki sposób z tego stanu pierwotnego przeszedł do stanu obecnego. W skutek ciągłego wypromieniowywania ciepła, które rozchodziło się na wszystkie strony w przestrzenie międzygwiazdowe, kula płynna zaczęła się oziębiać i po pewnym czasie utworzyła się na jej powierzchni cienka stała skorupka. Skorupka ta pozostała aż do naszego czasu, na niej się odbijały wszystkie gwałtowne zmiany zachodzące na powierzchni księżyca i od jej utworzenia, rzec można, datuje się pisana historya naszego satelity. Cienka warstwa stała, stawała się z czasem coraz grubszą i od tej chwili księżyc dążył bez przerwy do stanu, w którym się obecnie znajduje.

Gdyby to zgrubienie skorupy księżycowej odbywało się bez żadnej przeszkody, to powierzchnia jego byłaby dotąd gładka i nie moglibyśmy sobie wyobrazić w jaki sposób powstały wulkany otoczone wałami pierścieniowemi, któreśmy widzieli w naszej wędrówce po księżycu. Żeby sobie zdać z tego sprawę, musimy się zastanowić nad tem, w jakim stosunku znajdowała się stwardniała skorupa do roztopionego jądra księżyca. Znaną jest powszechnie własność ciał topliwych, że z małymi wyjątkami stopione zajmują zwykle przy równej wadze mniej miejsca, aniżeli kiedy przejdą lub też przechodzą w stan stały. Wiemy o tem dobrze z doświadczenia, że jeżeli oziębiamy stopniowo wodę, to się ona zgęszcza i przy 4^0 C. jest najgęstsza. Jeżeli oziębianie dalej prowadzimy, to zauważymy, że się ona rozszerza, że się staje mniej gęstą. Ztąd pochodzi, że lód jest lżejszy od wody otaczającej i dla tego utrzymuje się na jej powierzchni. Znanym jest fakt, że woda, zamarzając w zamkniętych naczyniach, rozsadza je, i że kawałek żelaza pływa swobodnie po powierzchni żelaza roztopionego. Są to fakta, które przekonywają nas o tem, że skoro ciała płynne zbliżają się do stanu, w którym mają się stać stałemi, zwiększają (prawie zawsze) swoją objętość.

Zastosujemy te daty zebrane z doświadczeń do księżyca naszego, który już się pokrył cienką skorupą. Księżyc oziębiał się coraz dalej wskutek promieniowania i coraz głębiej stygła jego masa. Te części masy, które się znajdowały bezpośrednio pod skorupą, zaczęły się oziębiać i zbliżać do stanu stałego. Nastąpiło wtedy opisane przez nas wyżej zwiększenie objętości, wskutek tego powstało parcie od środka na skorupę, tworzącą w tym wypadku rodzaj olbrzymiego, kulistego naczynia, napełnionego wewnątrz roztopioną masą. Cienka skorupa nie zdołała się oprzeć temu parciu wewnętrznemu, pękła w miejscach słabszych i potworzyły się otwory, przez które z gwałtownością wytryskały części płynnego jądra, tworząc w ten sposób kratery. Tam gdzie skorupa pękła w całej, długiej linii, gdzie otworzyła się szczelina, lawa wyciekała z daleko mniejszą gwałtownością i utworzyła grzbiety gór, które na powierzchni księżyca obok kraterów spotykamy. Jeżeli się uważnie przypatrzymy powierzchni księżyca, to przekonamy się, że tego rodzaju katastrofy powtarzały się kilkakrotnie. Znajdujemy bowiem na jego powierzchni najwyraźniejsze tego ślady, widzimy nieraz jak jeden krater przebija drugi, dawniejszy, i można nawet ujrzyć całe szeregi takich kraterów, zachodzących jeden na drugi, które najwidoczniej jeden po drugim powstały.

Siła ciążenia nie stawiała takiego oporu jak na ziemi, wybuch mógł następować bez porównania gwałtowniej i cała widzialna od nas tarcza księżyca pokrytą jest wulkanami i grzbietami gór straszliwie poszarpanemi.

* * *

Odbywaliśmy dotąd w wyobraźni wędrówkę po powierzchni naszego towarzysza niebieskiego, a widoki, które się nam przedstawiły, były tak niespodziewane i tak odrębne od naszych pojęć, że już zaspokojenie zwykłej ciekawości mogłoby nas zachęcić do staranniejszego zbadania jego powierzchni. Lecz dajmy już pokój tym wędrówkom, któreby nas mogły za daleko zaprowadzić. Przedmiot bowiem nastręcza niesłychane mnóstwo drobnych i ciekawych faktów, których opisanie wychodzi po za ramy naszej pogadanki. Kto chce bliżej poznajomić się z tym przedmiotem, tego odsyłamy do wybornej monografii Nasmytha i Carpentera p. t. „Księżyc“, która półtora roku temu ukazała się w niemieckiem tłumaczeniu.

W chwili gdy opuszczamy księżyc, i mamy przenieść się myślą na inne ciała niebieskie, nasuwają się nam uwagi o wnioskach, które patrząc na księżyc, możemy co do naszej ziemi wyprowadzić.

System słoneczny, ta wielka machina, której jedno ogniwo stanowi naszą ziemię, nie może być, tak jak wszelka machina obdarzoną wiecznym ruchem, nie może być owem szukanem przez średniowiecznych mędrców *perpetuum mobile*. Różne opory napotykane w biegu planet przez przestrzenie niebieskie, powoli zaczną osłabiać wszelkie ruchy, aż nareszcie nastanie uroczysta cisza śmierci. Lecz pojedyńcze ciała wchodzące w skład układu słonecznego pierwej jeszcze tej śmierci doczekają się, niż całość układu. Przyjdzie czas, że ziemia nasza, wysyłając bez przerwy promienie ciepłe na wszystkie strony, wyczerpie swój zapas, temperatura ogólna spadnie bardzo nisko i powoli, po długich, bardzo długich wiekach, będzie w stanie takim martwoty, w jakim się nasz księżyc znajduje.

Jak pusty, zimny, bez życia, bez wody, powietrza, księżyc, krążyć będzie nasza ziemia w okół słońca. Jakieś skamieniałe kości, odbicia roślin w głębiach ziemi, świadczyćby chyba mogły, że życie tu kiedyś było. Ale świadczyłyby, chyba przed niebem, bo nie będzie komu przeglądać tych śladów śmierci — po życiu. Z ludzkości, z jej ideałów, ze wszystkich burz społecznych, które nią tak potężnie obecnie wstrząsają, pozostaną zaledwie jakieś ukryte ślady. O ludzkości, powie astronom-filozof, przyglądający się ziemi, dajmy na to, z niezastygłego jeszcze Marsa, patrząc przez udoskonaloną lunetę, że może kiedyś istniała.

Ale *po co?* to jest pytanie.

NA TERAZ.

(Z WIKTORA HUGO)
(naśladowanie).

Wiem, że się zaprą i będą kłamali;
W godzinie prawdy, i ognia, i stali,
Przemienią sztandar, staną do karyery;
Lecz wy! o Dante! Eschylu! prorocy!
Świadectwem w czyjej sąd spoczywa mocy,
Z niskiej czy wyniosłej sfery.
Strofą poetów wleczon pod pręgierze,
Złoczyńca wyrok odbierze...
Historya — och! to galery.

Dzisiaj poeta stłumił już westchnienia;
W dłonie pochwycił wielki klucz więzienia,
A gdy zapozwie kogo i oskarży,
Temu bez względu na ród i znaczenie,
Choćby królowi, przetrząsą kieszenie,
I maskę obedrą z twarzy.
Pod pieśni strażą stoją ciemne stropy,
A srebrnogłose Kalliopy
Spisują listy zbrodniarzy.

Ludy gnębione! czas wam podnieść czoła!
Mówią: poeta — obrazem anioła;
Ma nie znać stronnictw i nazwisk; z łzą w oku,
Ma noc gwiaździstą opiewać w zatchnieniu...
Nie, nigdy! dokąd gwałt podły w jej cieniu
Spełniają na każdym kroku
Bandyci, złotem pyszni i purpurą,
O słońca! gwiazdy! naturo!
Nie chcę waszego widoku.

Dokąd nędznicy posiadają prawo
Zatykać usta, kraj poić niesławą,
A wolność leży zdeptana niegodnie;
Dokąd nam grożą wygnanie i miny,
Dotąd na czoła kłaść będę wawrzyny
Tym, którzy zwalczają zbrodnie,
Zawołam: ludu! wstań! Bóg doda mocy!
Ojczyzno! wśród ciemnej nocy
Nieść będę tobie pochodnię.

Błaznom, co kraj nasz chcą przemienić w Chiny,
Mój bicz na karkach znak położy siny;
Na ich *Te Deum*, zawołam: nie jeszcze!
Teraz *Memento*, sprawa nieskończona;
Będę piętnował tytuły, imiona...
W wiersz je pochwycę jak w kleszcze,
I dumne mitry, szlify i brewiarze,
Pochylą wybladłe twarze,
I hańby poznają dreszcze.

A pola, łąki, i gaje i kwiaty,
Obłok dzierzgany w srebro i szkarłaty,
Spokojnych jezior obszar źwierciadlany,
Wielki ocean, gwiazdy pełne krasy,
Góry, doliny i szumiące lasy,
Skał alabastrowe ściany,
Zadrżą z rozkoszy i w świtu godzinie
Wyszepcą — duch mściciel płynie,
Pędząc przed sobą szatany.

M. Rodoć.

MĄŻ ZUZANNY.

NOWELLA

przez

JERZEGO VAUTIER.

(Dokończenie).

VII.

Jakąż niespodziewaną wiadomość otrzymuję od ciebie! Żenisz się w tym miesiącu ze swoją kuzynką! Więc to dla tego tak ci było pilno uciec z Paryża i zakopać się na prowincyi? A cóż będzie teraz z owemi pięknemi morałami, jakiemi tak hojnie szafowałeś dla mnie? Przyszła kolej i na ciebie. Małżeństwo zapewnia szczęście i ty

będziesz niezawodnie szczęśliwym, ale, mówiąc między nami, i ty nie prowadziłeś dotąd życia anachorety, i ty niejednokrotnie sięgałeś po cudze dobro; słuszna więc, że i ty doznasz wyrzutów sumienia... przypomnisz sobie nieraz, że ginie od miecza, kto mieczem wojuje...

Spotkamy się w teatrze i nagle ujrzę cię zrywającego się z fotelu, bo żona twoja trzy razy z rzędu dotknęła końcem ust wachlarza, a ty przypomniałeś sobie, że niegdyś, w ten sam sposób, dawano ci w obecności męża znak, iż jesteś oczekiwanym; wychylisz się z loży, aby zobaczyć ukrytego nieprzyjaciela, a widząc na okół same tylko obojętne twarze i słysząc stłumiony uśmiech zdziwienia twojej żony, zajmiesz napowrót swoje miejsce, zawstydzony, zagniewany sam na siebie, żeś się dał uwieść wspomnieniom przeszłości, uspokojony na chwilę, ale z sercem zakrwawionem jeszcze z przelotną boleśną w niem raną, a ja ci szepnę na ucho:

— I ja toż samo przebyłem; wiem jakie cierpienia sprawia podobna chwila!

Najlepsi przyjaciele wychwalać będą piękność twojej żony, a ty w pochwałach ich upatrywać będziesz ukrytą groźbę i przeklinać zaczniesz potęgę wdzięków, które wzbudziły twoją miłość.

Zdarzy ci się, że niezwykła pieszczota, niespodziewana czułość twej żony, przywiedzie ci na myśl, iż w taki sam sposób inna kiedyś kobieta, starała się pokryć przed swoim mężem zbrodniczy z tobą stosunek, że kłamanem uczuciem chciała uspić podejrzenie jego. W chwili sposobnej, zapytasz niezawodnie sam siebie: „Co znaczyć ma ta czułość nadzwyczajna? A gdy w kilka sekund później, uznasz sam całą ohydę niesłusznych podejrzeń, będzie już zapóźno; już żona twa będzie zniechęconą, zasmuconą chłodnem obejściem się twojem; nie będziesz w możności usprawiedliwienia się i stracisz jednę z najrozkoszniejszych chwil życia. Niestety! chwile stracone niczem już wynagrodzić się nie dadzą! każda z nich unosi z sobą cząstkę ufności wzajemnej i szczęścia...

Bolesnej tej prawdy doświadczam obecnie na sobie; od ostatniego zajścia Zuzanna jest smutna, zamyślona; przyszło znowu pomiędzy nami do sprzeczek i to jedna po drugiej, a przed kilku dniami, powiedziała mi, zanosząc się od płaczu:

— Widzę, że już przestałeś mnie kochać!

To jej kochana matka podsunęła jej tę myśl, z powodu iż uważałem za właściwe nie przyjąć kilku zaproszeń na zabawy, co nastręczyło jej sposobność przedstawienia mnie w oczach żony, jako tyrana i zazdrośnika. Odtąd zapanował pomiędzy nami pewien rodzaj przymusu, w miejsce dawnej serdecznej zażyłości; Zuzanna nie może mi przebaczyć moich nieuzasadnionych obaw. Chciałbym wywieźć ją ztąd wraz z dzieckiem, powrócić do Florencyi, aby tam, w dali od Paryża i jego salonów, na nowo miodowy miesiąc rozpocząć. Lecz pani de Haintenois nie omieszkałaby pospieszyć za nami. Albożż Zuzanna nie należy więcej do niej aniżeli do mnie? nie jestże ona jej skarbem, jej dumą i chlubą? czyliż nie dlatego tylko wprowadziła ją w świat, aby świat ten podziwiał i uwielbiał przymioty jej duszy i ciała? Pani de Haintenois, obok wielu właściwych sobie zalet, ma żyłkę pieniactwa; gotowaby jeszcze wytoczyć mi proces i wtrącić do więzienia za to, że nie pozwalam nikomu umizgać się do mojej żony!

Egoista ze mnie; opowiadam ci własne moje kłopoty, jak gdybyś i ty nie stał na progu małżeństwa; cóż ciebie obchodzić dziś mogą moje utyskiwania i proroctwa? Bez porównania lepszym jesteś odemnie; puszczasz w niepamięć niegodziwe zatajenie mego małżeństwa i zapraszasz mnie na drużbę. Z ochotą przyjmuję to zaproszenie. Przyjadę, jak tego żądasz, w wigilię podpisania aktu ślubnego; będzie to dla mnie miłem spełnieniem obowiązku przyjaźni.

VIII.

Przed chwilą wyprawiłem do ciebie depeszę, z której nie wiele zrozumiesz — chyba to, że wracam z połowy drogi, i że nie masz potrzeby czekać dziś na mnie. List ten piszę na kulejącym stoliku, w dworcu jakiegoś przystanku kolejowego, który nie wiem nawet jak się nazywa, a gdzie wysiadłem przed kwandransem. Mógłbym był znaleźć jakąbądź wymówkę, powiedzieć ci naprzykład, że nagła słabość nie pozwoliła mi jechać dalej, ale wolę raczej wyznać całą prawdę.

Stosownie do danego ci przyrzeczenia, wyjechałem z Paryża południowym pociągiem. Przybywszy na dworzec, spotkałem się z mężem Joanny, który wyjeżdżał do swego majątku. Udało mi się wymknąć mu. Już to spotkanie rozdrażniło mnie cokolwiek; kilka pierwszych godzin podróży spędziłem na sumiennem czytaniu dzienników; następnie, po wyczerpaniu całego zapasu drukowanej bibuły, zacząłem rozmyślać. Cofnąłem się pamięcią w ubiegłe lata naszej młodości i przed na wpół przymkniętemi oczyma memi, przesunął się cały szereg naszych przyjaciół i towarzyszów zabaw, zdziesiątkowany już czy to wypadkami śmierci, czy też rozprószony po szerokim świecie; trzech już nas tylko z niego zostało: ty, Felicyan i ja. Nagle, czy wiesz jak myśl przebiegła mi przez głowę? Zadałem sobie pytanie, dla czego Felicyan nie będzie razem ze mną świadkiem twojego ślubu? dlaczego — tu przypomniałem sobie słowa twego listu — dlaczego przybyć ma dopiero w dwa dni później, na ceremonię kościelną? Ohydne podejrzenie wzbudziło się w mem sercu — zadrżałem mimowolnie, ale jednocześnie odepchnąłem je z pogardą od siebie.

Pociąg zatrzymał się tymczasem i dostrzegłem męża Joanny, wysiadającego z wagonu. Szukał mnie znowu na wszystkie strony; nie znalazłszy jednak, zwrócił się ku czekającemu nań przed dworcem pojazdu. Co miesiąc miał on zwyczaj odbywać podobne wycieczki, spokojny, pełen ufności, szczęśliwy. Gdy powóz jego znikał mi już z oczu i my puściliśmy się w dalszą drogę, pogrążyłem się znowu w dumaniu. Teraz Joanna była wyłącznym przedmiotem moich rozmyślań. Niecierpliwość, z jaką wyczekiwaliśmy oboje tych wycieczek męża, zapewniających nam trzy dni zupełnej swobody, uciecha nasza, gdy nadeszły nareszcie, nasze schadzki urocze podczas jego nieobecności, owa rozkoszna obawa, i niepokój, grożące nam nagłym powrotem zdradzanego — wszystko to odżyło w mojej wyobraźni... Nagle ogarnęło mnie dziwne jakieś uczucie, coś, jakbym zbudził się ze snu przykrego. Chciałem odegnać dręczące mnie myśli, słowo ci daję, że uczyniłem wszystko co było w mej mocy, aby nie uledz pod ich naciskiem. Ze dwadzieścia razy odczytałem dzienniki, usiłowałem zawiązać rozmowę z towarzyszami podróży, którzy odpowiadali mi monosylabami albo mruknięciem zaledwie; deklamowałem wiersze z pamięci, liczyłem słupy telegrafu;— wszystko napróżno!... Co tu począć? Mamże wlec za sobą tę rozgorączkowaną wyobraźnię i napastujące mnie myśli? mam się narazić dobrowolnie na twoje szyderstwo, gdy się pokażę z twarzą tak zmienioną? Jakiż wstyd będzie dla mnie, skoro nie zdołam ukryć mego niepokoju!... Po cóż to wszystko? — pomyślałem sobie — czyż nie lepiej powrócić pod jakimbądź pozorem do Paryża, i zajść niespodzianie Zuzannę, zasypiającą spokojnie przy łóżeczku Piotrusia, ucałować ich oboje, a potem, uleczywszy się tym sposobem raz na zawsze z głupich podejrzeń, wyjechać powtórnie rannym pociągiem?... Doprawdy, wyborna myśl!.. Na najbliższej stacyi wysiadłem bez wahania, i nie pytając gdzie jestem, i oto czekam tu na pociąg, który za chwilę odwieźć mnie ma napowrót do Paryża. Jutro popołudniu będę u ciebie; stracimy tylko kilka godzin miłej pogawędki; nie żałuj ich, pomyśl raczej, że za to przybędę w doskonałym humorze i gotów razem z tobą śmiać się z dzisiejszego mego szaleństwa. Na szczęście, nie długo ono trwało; wraz z powzięciem stanowczej decyzyi, uspokoiłem się zupełnie. Boże! jakżeż rozkoszną noc przepędzę! jakże szczęśliwym będę jutro!...

IX.

Czyż zdołam opowiedzieć ci straszny ten dramat, na wspomnienie którego drżę jeszcze cały?! Oczy moje łez pełne, i zaledwie jestem w stanie nakreślić te kilka wierszy. Wczoraj sam się śmiałem z dziecinnych obaw moich, ani przypuszczając nawet jak okropne groziło im rozwiązanie.

Już było po jedenastej, gdym się znalazł na bruku paryskim; przez drogę wymyśliłem sobie bajeczkę, dość prawdopodobną, mającą usprawiedliwić niespodziany mój powrót. Powtarzałem ją sobie kilkakrotnie dla wprawy, lękałem się tylko, że nie zdołam wytrzymać czystego spojrzenia Zuzanny, że zarumienię się mimowolnie, zdradzając odgrywaną niegodnie przezemnie komedyę. Aby o ile można odwlec ciężkie to przejście, wracałem do domu pieszo, powoli, z góry już ciesząc się radosnem zdziwieniem żony i serdecznemi jej pocałunkami.

Jestem już przed naszym domem. Podnoszę oczy w górę: okna salonu oświetlone. Tak późno! Co to ma znaczyć? Dzwonię, wchodzę szybko, przebiegam schody, otwieram drzwi i słucham; dochodzą mnie jakieś głosy; spieszę przeto do salonu. Nie ma w nim nikogo, ale na jednym z foteló w spostrzegam niedbale porzucone kapelusz męzki, palto i laskę — to laska Felicyana, poznaję ją, taż sama, którą dałem mu przed ożenieniem się. Nie omyliło mnie więc przeczucie!...

Słyszę szelest sukni; to pokojówka mej żony, wchodzi z sąsiedniego pokoju. Spostrzegłszy mnie, wydała okrzyk przerażenia:

— Pan powiedział!... Więc pan wie...

— Wiem wszystko. Odpowiadaj mi, ale przedewszystkiem, jak możesz najciszej. Pan Felicyan jest tu?

— Jest.

— Oddawna?

— Pani kazała go prosić około godziny szóstej.

— Gdzie on jest?

— W sypialni pani.

— Zostaniesz tu. Jeżeli ruszysz się na krok jeden, nie ręczę za twoje życie!

Dziewczyna zostaje w salonie skamieniała z przestrachu. Wychodzę i zamykam ją na klucz. Wbiegam do mego gabinetu, zdejmuję ze ściany pistolet. Głowa mi pała, łkanie gwałtowne oddech

mi tamuje; jak przez mgłę przypominam sobie dręczące mnie cały dzień dzisiejszy obawy. Ach! więc to nie był czczy wymysł rozbujałej wyobraźni!... Nie przypuszczałem nigdy, aby człowiek zdolnym był cierpieć tyle, ile ja wycierpiałem przez te dnie minuty, które mi się dwoma wiekami wydały! Odwodzę kurek pistoletu i zwracam się ku sypialni Zuzanny. Drzwi na wpół uchylone, Zatrzymuję się na progu. Przy wielkiem łóżku widzę Felicyana na wpół schylonego, prawie klęczącego; Zuzanna stoi obok niego; wyciągam rękę, dotykam palcem kurka...

Felicyan podnosi się, trzymając chusteczkę przy ustach:

— Uratowany! — rzekł półgłosem.

— Ale panu może zaszkodzić — szepnęła Zuzanna.

Odwracają się oboje i spostrzegają mnie; krzyk przerażenia wydobywa się zarówno z ich jak i z moich piersi; pistolet wypada mi z ręki; bo oto, na łóżku leży mój maleńki Piotruś, blady, nieruchomy, z zamkniętemi oczyma... Rzucam się ku niemu, ale ręka Felicyana wstrzymuje mnie.

— Ten pistolet!... miałeś więc podejrzenie!... wyrzekł ponuro, odpychając mnie z pogardą.

Zuzanna była już w moich objęciach.

— Gastonie! cóżeś ty chciał uczynić? — zawołała. — On uratował nam dziecię z narażeniem własnego życia!

Opowiada mi w kilku gorączkowych słowach, że Piotruś, chory już od dwóch dni, co tajono przedemną, aby nie zwlekać mego wyjazdu, dostał krwawej anginy, że Felicyan czuwa nad nim od pojawienia się pierwszych symptomatów, że znalazł się w konieczności nacięcia zaatakowanej arteryi, i że przed chwilą właśnie pokonał śmiertelną kryzys, własnemi usty skrzepłą krew wysysając.

Słucham milczący, skamieniały ze wzruszenia. I takiego człowieka ośmieliłem się posądzać!... Nagle syn mój zwraca ku mnie swe wielkie niebieskie oczy, uśmiecha się i wyciąga rączki. Biegnę do niego, całuję go, i zalewam się łzami. Osłabione dziecię łączy Zuzannę i mnie w długim pieszczotliwym uścisku, wspomnienie którego słodkim mnie jeszcze dreszczem przenika. Po kilku minutach uroczego zachwytu, podnoszę się. Idę do Felicyana, stojącego w głębi pokoju i z zimną krwią oglądającego pistolet, który podniósł z ziemi. Biorę go za rękę i pomimo oporu, ciągnę do łóżka; tu, otaczając szyję jego rączkami dziecięcia, mówię:

— Przebacz mi, przyjacielu!

Łzy zaświeciły mu w oczach.

— Przebaczam ci — odpowiedział — nie mówmy o tem więcej.

— Ale z tobą co będzie?... takie niebezpieczeństwo...

— Stary kawaler... nie wielka byłaby szkoda, choćbym i umarł.

— Ja chcę, abyś żył dla mojego syna.

— Bądź spokojny, nie umrę — rzekł uśmiechając się wśród łez — Opatrzność czuwa nad lekarzami.

Siły moje złamały się pod naciskiem gwałtownych wzruszeń; doznałem zawrotu głowy, ściemniło mi się w oczach, straciłem przytomność...

Wiele wycierpiałem w ciągu tych kilku godzin; ale całe życie błogosławić będę to cierpienie, gdyż ono wyleczyło mnie. Piotruś ma się daleko lepiej, niebezpieczeństwo przeminęło; pojutrze jadę do ciebie z Felicyanem; zdążymy jeszcze, aby być świadkami twojego ślubu. Prawda, że nie wspomnisz mi o przeszłości? Pragnę wszystko zapomnieć, sam jednak widzisz, że miałem słuszność twierdząc, iż rzeczywiście każdy błąd pociąga karę za sobą. W ostatniem przejściu ciężko odpokutowałem za popełnione błędy; dziś jestem już spokojny. Szczerze wyspowiadałem się przed Zuzanną; obowiązkiem moim było wytłumaczyć jej moje postępowanie; słuchała mnie w milczeniu, a gdym skończył, rzekła:

— Żałuję cię.

Nie, nie, nie potrzeba mnie żałować, bo skoro tylko Piotruś odzyska zdrowie, wyjeżdżamy do Florencyi; Zuzanna przyrzekła mi, że wyjedna zezwolenie pani de Haintenois. Pozostaniemy tam o ile się da najdłużej, i mogę cię zapewnić, że za powrotem, zagojona rana moja nie odnowi się już nigdy. W ostanim liście wspomniałeś, że przechowywać będziesz starannie całą korespondencyą naszą, aby mieć dokładną historyą mojego szaleństwa. Jeśli chcesz, dopiszemy na ostatniej stronicy, zamiast sensu moralnego, artykuł kodeksu, oznaczający karę na wspólnika wiarołomnej żony, ale z następującym dodatkiem:

„W każdym razie skazanym będzie przestępca na brak zaufania w miłości.“

niżej zaś, ja poświadczę, w rodzaju ostrzeżenia, że to jest „straszna kara“, a podpiszę się:

Mąż Zuzanny.

KORESPONDENCYE „TYGODNIA.“

(Dokończenie).

Paryż d. 1 Czerwca 1878 r.

Naród angielski w ogóle na wystawie obecnej bardzo chlubne zajmuje stanowisko, pod względem nawet rzeczy, mniej swojskich dotychczas właściwemu mu genjuszowi. Malarstwo jego naprzykład, niezaprzeczalne wykazuje postępy. W rodzaju krajobrazów zwłaszcza, szczególniej pejzażyści angielscy tryumfalnie, coraz to bardziej grasującej we Francyi „impressionalizmu“ (pisaliśmy wam o nim nazad temu lat parę) broniąc się chorobie, z całym likiem bardzo ładnych, nader wdzięcznych produkcyi, do międzynarodowego stają popisu. Wykończone to, wypracowane, nie mniej przeto pełne uczucia i poezyi. W rzędzie innych, zauważyliśmy szczególniej prace panów: Millais i Herkommer. Nie sposób hucznego odmówić im oklasku. I lada jak my profana (raz jeszcze) olbrzymia między niemi, a utworami szkoły francuskiej, uderzyć musi różnica. Różnica podchlebna dla Anglików, temu już „bon gré, mal gré“ najzawziętsi nawet nie zaprzeczają „Chauwiniści.“ Francya natomiast, jakeśmy słyszeli od znawców specyalistów w tym względzie, ma prym trzymać na polu rzeźby. Cóż gdy dzięki złemu zarządowi pana de Chennevières, dyrektora Wydziału Sztuk Pięknych, o rzeźbie tej przepomniano (!) na razie, i wzięto się do ulokowania jej na wystawie za późno, tak, iż sekcya jej dotąd nie wykończona, pustemi świeci salami. Krzyk ztąd na tego ostatniego okrutny, i zaprzeczyć trudno, że zasłużony.

Pan de Chennevières, to ostatni zabytek byłego porządku rzeczy, upadłych rządów reakcyi. Utrzymał się dotąd na swem miejscu, dzięki jakimś tajemniczym wpływom, ale prawdopodobnie nie zostanie na niem dłużej, i niedbalstwo, o którem mowa, aż nadto wystarczającym do oddalenia go posłuży powodem. Dzienniki barwy reakcyjnej, jak „l'Estafette“, „Figaro“ i t. d. broniąc rozumie się swego, zwalają winę na pana Krantz, zwierzchniego organizatora wystawy. Po możliwie bezstronnem zbadaniu i ocenieniu rzeczy, sądzimy, że niesłusznie. Pan Krantz organizując wystawę „en gros,“ w głównych jej zarysach, jako wódz naczelny, nie mógł w drobne jej wdawać się detale, i musiał przecież liczyć nieco na pomoc swych adjutantów, w rzędzie których pan de Chennevières, jako dyrektor Wydziału Sztuk Pięknych, nader widne zajmował miejsce. Że ta ostatnia zawiodła go, jak to widzimy, zupełnie, wina w tem czyja? Jużci że wspomnianego adjutanta, a i rządu przytem, który nie poznał się na jego nieudolności, i który tak długo, nie wiadomo dla czego, na tak ważnem tolerował go stanowisku. Pan Krantz, to nie orzeł zapewne, ale musiałby nim być chyba we dwójnasób, by stworzyć coś porządnego za pomocą tak lichych narzędzi.

A kiedy mowa o sztukach pięknych i o poczynionych na polu ich postępach, to nie sposób malarstwa niemieckiego zbywającem rzecz pominąć milczeniem. Wiecie zapewne, iż jedyny to punkt, na którym rząd niemiecki przyjął współudział w Wystawie paryskiej, i odważył się, świadom co czyni, do porównawczego stanąć popisu. Wyszedł zeń, ni słowa, bardzo świetnie, i prawie że zupełnie zwycięzko. Nie tajnem jest nikomu, iż nowożytna szkoła malarska w Niemczech: Kaulbach, Cornelius i inni, odznaczała się dotąd podniosłością koncepcyi, umiejętnem grupowaniem postaci na olbrzymich kartonach, lecz, że malowała szaro, lecz że pod względem kolorytu, wiele, bardzo wiele, zostawiała do życzenia. Otóż udało się jej obecnie, ten ostatni zwalczyć niedostatek. Gebhardt, rodem jeśli się nie mylimy z Düsseldorfu, w swej „Wieczerzy Pańskiej,“ która niezaprzeczenie perłą jest obecnej Wystawy i za którą prawdopodobnie honorowym zaszczyconym będzie medalem, „Gebhardt,“ w swej „Wieczerzy Pańskiej“ powiadamy, nie tracąc nic z zalet wyżej wymienionych swych poprzedników, dodaje do nich to, czego im nie dostawało: światło, koloryt, życie. Obok niego kilku innych w tymże samym kierunku, mniej zadziwiające zapewne, lecz wyraźne czyni postępy. Nie do smaku ultra-patryotom francuskim te powodzenia wroga, na pobicie którego, w tym przynajmniej boju, z wielkiem rachowali zaufaniem. Nie mogą jednak, jakkolwiekby tego chcieli, jawnej zaprzeczyć rzeczywistości. Przebąkują więc coś półgębkiem o „wielkich postępach“, rozmowę zaraz, gdy się uda, z widocznym pospiechem, w inną zwracając stronę. Nie wiemy jak komu, ale nam, znającym dokładnie charakter „Wielkiej nacyi“ i trudność z jaką ona do ladajakiej nawet przyznaje się porażki, nam powiadamy, za absolutne starczy to wyznanie.

Malarstwo natomiast austryackie, wielkim rozgłosem i szeroko praktykowaną poprzedzone reklamą, najmniejszego tu nie wywiera wrażenia. Sążnisty obraz Makarta, „Wejście Karola V-go do Antwerpii“, o którym nam zdaleka, jak o ósmym cudzie świata rozpowiadano, wygląda tu nader blado, i według ogólnego prawie zdania tutejszych znawców, obok kilku dość błahych zalet, sporo ważnych licząc niedostatków, wcale, na tak zwłaszcza zbyteczne, nie zasługuje pochwały. Rozumie się, iż mówiąc o malarzach austryackich, nie zaliczamy do nich ani naszego Matejki, ani niedawno zmarłego Czermaka, ani nawet Węgra Munkacs'ego. Talenta to bowiem, nie od wczoraj już ogólnie przyjęte i uznane, i rzeczywista, a nieladajaka, wartość ich, żadnej już nie ulega kontestacyi. Obrazy przytem przez nich nadesłane: „Unia Lubelska“ i „Dzwony“ Matejki, „Pogrzeb Wojewody Czarnogórskiego“ Czermaka, na dorocznych paryskich figurowały już Wystawach, i swojego czasu należne im spotkały ocenienie. Munkacsy przysłał wprawdzie rzecz nową: „Miltona dyktującego dzieła swe córkom,“ lecz ta, też sama, co i wszystkie, lub prawie, poprzednie artysty tego prace, dodatnie i ujemne posiadając strony, powziętego o nim dawniej zdania ogółu nie modyfikuje w sposób wybitny, powiemy nawet, że zgoła.

Reassumując więc wszystko co wyżej, możnaby twierdzić, iż pierwsze miejsce na obecnej Wystawie (pod względem malarstwa) zajęły Niemcy, drugie Anglia, o trzecie ubijają się Francya, Austrya, i Hiszpania, świecąca akwarellami Fortuny'ego. Wystawa rossyjska dotąd nie otwarta, żadnemu nie ulega sądowi, co się tycze wystaw włoskiej, szwajcarskiej i t. d. to o nich jak „o Ryczywole zamilczeć wolę.“

Zastrzegając sobie prawo powrotu na wystawę i dalszego was po niej oprowadzania, list niniejszy zakończymy pobieżnym przeglądem innych objawów paryskiego żywota, teatralnych, literackich, i w mierze interesującej was, światowych nowinek.

Zacznijmy od pierwszych:

Licząc na wpływ przyjezdnych cudzoziemców, teatra paryskie w przeważnej większości odłożyły doroczne w tej mniej więcej porze zazwyczaj przypadające, wakacye swe, na później, i postanowiły po-

zostać otworem, pomimo czerwcowych i lipcowych upałów.

Myliłby się jednakże bardzo, ktoby tem uwiedziony, na deskach ich wielkich zechciał szukać nowości. Nowości to dobre dla Paryżan. Zgraja przybyszów, aż nadto, odgrzewaniem starych zadowolni się rzeczy. Na tej to oparty rachubie, teatr „Odéon“ przedstawia „Daniszewych“; „Porte St. Martin“ „Podróż około świata“; „Teatr historyczny,“ „Dramat na dnie morza“; „Palais-Royal,“ „Tricoche et Cacolet“; „Bouff'y,“ „Srebną timbal'ę“ itd. Sztuki to są przed dwoma, trzema, czterema i więcej laty wielkiem odznamionowane powodzeniem. Wyjątek z tej ogólnej prawie reguły stanowią: „Komedya francuska“ z „Les Fourchambault“ Augier'a; „Varietés“ z „Naniną“ panów Hennequin i Millaud i „l'Ambigu Comique“ nakoniec z nowym, absolutnie nowym „Les abandonnées“ pana Poupart-Davyl dramatem.

O tych więc trzech słów parę:

„Les Fourchambault' Augier'a.

Kto widział jednę sztukę tego pisarza, ten widział ich dziesięć, ten widział ich piętnaście. Napisane to poczciwie, napisane to porządnie, gładkim wierszem, lub wysoce poprawną prozą, lecz z tem wszystkiem, tak jakoś ciężko, nudnie, martwo, bez życia, iż słuchacz najlepiej nawet usposobiony, ani się tem wzruszy, ani się tem zainteresuje, i przyklaskując dobrym chęciom autora, i sumiennie wypracowanej jego formie, niczemu więcej przyklasnąć nie zdoła. „Les Fourchambault“ ani na jotę z pod tej ogólnej, autorowi ich swojskiej, nie wyłamują się miary. Sztuka ta mająca niby to idealizować familijne życie, domowe cnoty, rodzinne obowiązki, w rzeczy samej nie idealizuje nic wcale, o wszystkiem mówi bardzo chłodno, z wewnętrznem przekonaniem być może, lecz bez daru wylania tego na zewnatrz, i podzielenia się niem z drugiemi. Jeśli to lekarstwo na zepsucie wieku, to wyznać trzeba, iż nie drastyczne, nazbyt homeopatyczne, nikogo nie zabije, nikogo też nie wyleczy na pewno, chyba że chorych na imaginacyą tylko. Są w niej sceny obrachowane widocznie na efekt, i mijające się z nim zupełnie. Jest „coup de théatre“ finałowy, w postaci policzka zmazanego pocałunkiem, miast wzruszyć spektatora, na co gwałtownie się sadzi, komiczne na nim wywierający wrażenie. W ogóle jakeśmy rzekli wyżej, utwor poczciwy, pełen dobrych intencyi. Gdybyż te wystarczały! Lecz niestety, od nich do celu tak jeszcze częstokroć daleko! „Nanina„ panów Hennequin i Millaud to co innego, to farsa bez pretensyi, ale lekka, wesoła, i sprytna, sprytna, jak mało co na świecie. Gdybyśmy nie byli Polakami, zabawiłaby nas może, lecz niestety, polskość i Polska tak niepodchlebną odegrywa w niej rolę, za tak ciągły cel szyderczych służy pocisków, iż wręcz przeciwne wywiera na nas wrażenie. Ma to być, jakeśmy słyszeli, historya W-go księcia rossyjskiego Mikołaja i miłośnych stosunków jego z Miss Blac ford, półświatową damą, która niezbyt dawno temu, spragniony skandalów świat tutejszy, swemi, zaledwie że ogłoszonemi drukiem, wnet przez policyą skonfiskowanemi, rozgorączkowywała pamiętnikami. Historya ta pełna komicznych epizodów, posłużyła za tło sztuczki o której mowa, z tą tylko różnicą, iż autorowie tej ostatniej, *dla politycznych względów*, nazwiska rossyjskie zamaskowali pod polskiemi, na miejscu „Grand duc de Russie“ postawili „Prince de Pologne,“ na miejscu „Petersburg“ „Varsovie,“ itd. itd. itd. Moralność to dziwnego zapewne rodzaju. Przypuśćmy, iż wypada mi spoliczkować kogoś, który ma szerokie ramiona, potężne kułaki, który zatem może, niezbyt przyjemną odpowiedzieć mi bastonadą, i że w tak kłopotliwem położeniu, wpadam na myśl zbawienną, spoliczkowania na miejscu jego, jego niewolnika, który skrępowany, słabizna, żadnem odwetu nie grozi mi niebezpieczeństwem. Przypuśćmy, iż to czynię, „Postępujesz podle!“ krzykniecie mi jednogłośnie. Ha! Być może! Lecz liczny tłum publiczności francuskiej, codziennie, w „Variétés,“ podobnemu panów Hennequin i Millaud przyklaskuje postępkowi.

„Les abandonnées“ dramat pana Poupart-Davyl z kolei. Ten krytyce naszej odpocząć pozwoli. Rzecz to bardzo ładna, bardzo dobrze pomyślana, bardzo dobrze napisana. Sztuka ludowa, pełna scen żywych, doskonale z natury skopiowanych charakterów, która, gdyby nie ostatni akt jej nieco zanadto melodramatyczny, absolutnym mogła by być tryumfem. Pan Poupart-Davyl, to pisarz znany już z kilku ładnych, jak „La maitresse legitime“ w „Odeonie,“ „Le coq hardi“ w „Porte St. Martin,“ powodzeń. Otóż talent jego nigdy nie wzniósł się tak wysoko, nigdy z świeższych źródeł swego wdzięcznego nie czerpał natchnienia, jak w sztuce o której mowa. Doszedł was może słynny tutaj romans pana Zola „L'assomoir.“ W romansie tym, autor jego, lud roboczy paryski z czarnej zepsucia i występków przedstawia strony. Dramat pana Poupart Davyl wręcz przeciwne wytknął sobie cele, i tamtemu, wymowną, rzec by można, zwycięzką służy odpowiedzią. „Lud roboczy nie jest złym, en masse, nie jest zepsutym, a tylko zaniedbanym i opuszczonym.“ Te słowa mógłby autor, jako epigraf, na pierwszej utworu swego położyć karcie. Poczciwe słowa, i chociażby się mylić miały, poklask im serdeczny.

W liku aktorów odegrywających role w sztuce o której mowa, pani Periga na specyalne zasługuje wspomnienie. Artystka to całą gębą, świetnie swą dramatyczną rozpoczynająca karyerę.

Rozpisaliśmy się tak szeroko o teatrach, iż na zapowiedziane literackie, i inne nowostki, miejsca już nam nie staje. Odłóżmy je zatem do przyszłego listu, w tym, wspominając wam tylko o „Le Pape,“ nowym tomie wierszy Wiktora Hugo, który już wyszedł, i o dwóch innych jeszcze, „Toute la lyre,“ które wkrótce wyjść mają. Te nam może szerokiej treści do dłuższej z sobą przysporzą gawędy.

Żegnajcie

J. S. Chamiec.

WSPOMNIENIA STARYCH ZOŁNIERZY

spisał

EZECHIEL BERZEWICZY.

I.

Bitwa pod Uchaniami

(z opowiadania Seweryna Ostaszewskiego).

Już niepamiętam którego to dnia w maju 1831 roku, kiedy pod wodzą pułkownika Karola Różyckiego przechodząc ku okolicom Łucka, miasta powiatowego na Wołyniu, schwyciliśmy kuryera wiozącego depeszę z Żytomierza do kwatery komendanta korpuśnego jenerała Rydigera w Kongresówce.

Depesza pochodziła od gubernatora wojennego Lewaszewa, i zawierała zawiadomienie generała, że oddział *miatieżników* pod dowództwem Karola Różyckiego, liczący 400 koni, zdąża do Królestwa; — a w końcu słowa: „wzywam więc pana generała, abyś przedsięwziął środki schwytania onych — okucia w kajdany i przystawienia do guberskiego miasta Żytomierza.“

Z pewnością więc sądzić można było, że generał Rydigier i na innej drodze o tem zawiadomionym zostanie, i nie zaniedba poustawiać ze swojej komendy oddziałów wojska w przeważnej sile, by nas rozbić i zabrać do niewoli. Do tego został nasz pułkownik przez szpiegów zawiadomiony, że już znaczne oddziały z okolic Łucka nad rzekę Bug wysłane zostały, w celu bronienia nam przeprawy. Dowiedział się również przez tych samych szpiegów, że w Łucku znajdują się pełne magazyny zapasów wojennych, a skutkiem wysłania wojsk moskiewskich nad Bug, prawie zupełnie bez asekuracyi zostały.

Położenie więc nasze wtenczas, kiedyśmy w okolicę Łucka maszerowali, nie było świetne; i kto wie, jakby się było skończyło, gdyby nie geniusz i troskliwość naszego pułkownika o swój oddział, który obmyślił zręczny sposób przeprowadzenia nas niepostrzeżenie przez tę rzekę. Cóż tedy robi?... Oto wzywa liweranta żyda, mówi mu w sekrecie, że jest w przedniej straży wojska ośmiotysięcznego, które za parę dni zdąży pod Łuck; bo wie z pewnością, że Moskale tam wielkie zapasy wojenne mają; — żąda od żyda, by kupił owsa i siana dla koni, pożywienia dla wojska; i daje mu na zakupno tego 1200 rubli srebrem, przewidując, że ów liwerant korzystać z tego będzie, pieniądze schowa, i Moskalom konsystującym w Łucku da wiedzieć o zbliżających się miatieżnikach w sile 8000 ludzi, którzy mają zamiar magazyny wojenne w Łucku zniszczyć. Przewidział to dobrze Różycki, że w skutek tego żydowskiego zawiadomienia, Moskale ściągną swoje siły z nad Bugu do Łucka, by odeprzeć napad i obronić magazyny, a przez to nam zostawią wolną przeprawę przez Bug, który, chcąc się do Królestwa dostać, przejść musieliśmy; — i tak się stało!

Moskale w Łucku, po odebraniu tej wieści od żyda, ściągnęli swoje oddziały od Bugu, a my o tem zawiadomieni, nagłym marszem spieszymy i przechodzimy bez przeszkody rzekę, a przeprawiwszy się, wchodzimy do lasów, w których dwie doby tak cicho obozowaliśmy, że Moskale zupełnie nie wiedzieli, gdzie się obracamy.

Jenerał Rydigier, stojący wówczas główną kwaterą w Krasnymstawie, zawiadomionym był z Łucka, że zamierzamy przedrzeć się do Królestwa i zdążamy do Zamościa; wskutek tego, porozstawiał swoje komendy w kilku punktach na traktach, by nas od Zamościa odciąć, a potem ująć. Jedna z tych komend była pod Uchaniem, w sile dwóch szwadronów dragonów pod samem miastem — pułk kozaków trochę dalej w Grabowcu i dywizya huzarów, a właśnie ten punkt pod Uchaniem obrał Różycki do przebijania się!...

Po owych dwóch dobach, cicho w lesie przepędzonych, w nocy, obwiązawszy pałasze trawą dla zapobieżenia brzęku o strzemiona, ruszyliśmy z przewodnikiem gajowym, który oddany był pod baczne oko mego brata stryjecznego Grzegorza. Szedł on obok konia piechotą i miał sobie powiedziane, że jeżeli zdradzi, lub jeśliby uciec zamierzał, kulą w łeb dostanie; a w dowód tego oświadczenia, brat mój kurek odciągnął.

Noc była pochmurna, a w lesie taka ciemność panowała, że jadąc ścieśnionemi rotami, jeździec swego poprzednika dojrzeć nie mógł.

Przewodnik, korzystając z ciemności po godzinie może marszu uciekł; a mój brat, był do tyla nieprzezornym, że go na sznur nie wziął. Pułkownik o tym zawiadomiony, trochę niespokojny, nie tak z powodu, że nie było komu dalej prowadzić, jak z obawy, by hultaj Moskalom znać nie dał, zatrzymuje nas na chwilkę — odkomenderowuje swego adjutanta Antoniego Szaszkiewicza z 6ciu ludźmi, z poleceniem, by jechał we wskazanym mu kierunku jak najciszej, i starał się koniecznie schwycić widetę moskiewską tak, żeby sygnału obozowi dać nie mogła. Szaszkiewicz, jak właśnie sam opowiedział, zamiast widety, podjechał placówkę z 25ciu koni się składającą, nie dał jej wprawdzie strzału zrobić, ale i nie miał czasu zawiadomić o tem pułkownika.

Nie długo czekaliśmy na to zawiadomienie! Ruszyliśmy więc już bez przewodnika w kierunku zresztą dobrze znanym pułkownikowi, a wyjechawszy po niejakim czasie z lasu, stanęliśmy w życie.

Choć to noc bardzo ciemną była, jednak obóz moskiewski przez szmer i kilka słabo tlejących ognisk, zdradzał się w którym kierunku go szukać mamy.

Tu zatrzymał się nasz cały oddział, składający się z trzech szwadronów, komendantami

których byli major Dunin, kapitan Przeborowski i kapitan Grudziński.

Kapitan Tadeusz Przeborowski odkomenderowany ze swoim szwadronem, został w miejscu; a sam Różycki nietracąc czasu, na czele dwóch szwadronów, pierwszego i drugiego, z początku stępo, potem kłusem, a w końcu galopem, na obóz moskiewski szarżował.

Szarża ta, choć milczkiem odbyta, sprawiła już przy kłusie tentent i szum tak głośny, że gdyśmy na strzał karabinowy się zbliżyli, już się poruszył obóz, a pułkownik od dragonów Bogdanów, już siedział na koniu, i komenderował: *„Sadiś na łoszad'! Strojsia!**) Ale nie było już czasu! — „Sława Bohu," zagrzmiała wiara nasza i w momencie byliśmy im na karku! Topczyński nasz, sławny myśliwy, dał pierwszy strzał z dubeltówki i tym powalił pułkownika Bogdanowa! drugim strzałem ranił jego konia. **)

Napad nasz, nagły i niespodziewany, zrobił między nimi popłoch nie do opisania. — Konie jednego szwadronu, które stały w pogotowiu posiodłane, ale bez jeźdźców, zmięszały się z nieposiodłanemi drugiego szwadronu, uwiązanemi do sznurwachów; — jednem słowem, tłum ludzi i koni, razem bez ładu, i w najwyższej trwodze. Żołnierze obu szwadronów moskiewskich, niewidząc żadnego ratunku dla siebie, skryli się po budach, i z onych strzelali do nas; nasi też, nie namyślając się długo nad sposobami, jak ich z tej nory wypędzić, zajeżdżają z tyłu bud, trzymając oburącz lance, przez słomę uderzają grotami i zmuszają ich tym sposobem do wystąpienia na plac.

Wśród tego chaosu i słabnącej już wrzawy bojowej, uczułem, że mi gorty na siodle zfolgowały, i dla podciągnienia usunąłem się trochę na stronę, i gdy zeskoczywszy z konia, poprawianiem siodła zajęty byłem, czuję, że mię ktoś za płaszcz mocno szarpnął. Oglądam się, i widzę mego pułkownika. „A palże w łeb! — mówi — oto temu, co przed tobą stoi na koniu." — To nasz! odpowiadam. — „Ale nie nasz! nie tłumacz się, tylko pal!"

Wskakuję na konia — podjeżdżam z pistoletem w ręku — przypatruję się, żeby do swego nie strzelić (bo to przy dogorywających budach ciemno było) i spostrzegam, że to Uralski kozak, przysłany zapewne od swoich na zwiady, trzyma janczarkę w poprzek konia. — Zajeżdżam bliżej z przodu, i mimowolnie zapytuję po rosyjsku: *„A ty czto zdieś dielajesz?"* — Ten hultaj, zamiast odpowiedzi, pochwycił janczarkę do twarzy, ale nim się złożył, strzał mój z pistoletu, powalił go z konia na ziemię ***).

(C. d. n.)

*) Jeden szwadron dragonów zastaliśmy w pogotowiu. Konie posiodłane i zamusztuczone, a ludzie tego szwadronu, zamiast stać przy koniach, leżeli po największej części w budach na prędce zrobionych i słomą pokrytych; drugiego szwadronu konie były rozsiodłane i upięte.

**) Pamiętam, koń pułkownika Bogdanowa, był 16tej miary, kasztan anglezowany, śliczny, — Później wykurowanego, darował Bogdanow w Zamościu jenerałowi Krysińskiemu, komendantowi fortecy.

***) Popatrzałem jeszcze na nieboraka. Krew mu kawałkami z ust płynęła, a on wzywał mię po swojemu: *„Radi Hospoda! Zatiahni menia ku reczkie! Wody, pomiłuj mnie! Wazmi u mienia dienoi, i wsio czto na łoszadi w siedle! tolko podwałaczi menie ku rieczkie!"* I byłbym mu chętnie tę chrześciańską przysługę uczynił, ale nie było czasu rzeczki szukać.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 13. czerwca.

Podzielam zdanie wiedeńskiego Figara, że zbierający się kongres europejski w Berlinie nie może osiągnąć pocieszającego rezultatu, obradując bez pomocy Ducha świętego. Obrano taki czas, w którym przypadają uroczystości Zielonych świątek podług nowego, a następnie podług starego kalendarza — zatem Duch święty, zajmując się oświeceniem Moskali, dziś już tak bardzo rozrzuconych po Europie, nie może towarzyszyć nawet księciu Gorczakowowi do Berlina na trzynastego czerwca... Dyplomaci wogóle, a moskiewscy po wszystkie czasy nie odznaczali się nigdy namaszczeniem, gdy szło o przeprowadzenie słuszności i prawdy, nie wierzę przeto, aby i teraz, gdy idzie o kwestyę wschodnią, mogli się obejść bez szczególniejszej łaski Ducha św. Może się więc skończyć na zastępstwie prochem i Uchacyuszem tej odmówionej łaski. Nie róbcie sobie tedy nadziei pokojowej szanowni czytelnicy, sprzedawajcie ruble dopóki stoją po 120 centów i bawcie się za te centy tak, jak się bawi nasz Lwów kochany.. Dalibóg, miasteczko to musi mieć dobre zdrowie, dobrą kieszeń i nogi niezłe, jeżeli w jednym tygodniu odbywa po dwa festyny co dzień i to festyny na dwóch przeciwległych krańcach, a prócz tego jedzie na słoninę i gulasz z papryką do Homony na Węgrzech. Obliczają, że do piętnastu tysięcy widzów było za rogatkami Janowskiemi na wyścigach konnych w drugi dzień Zielonych świątek, że tysiące brały udział w loteryi fantowej w ogrodzie Pojezuickim, tysiące były na Kisielce, gdzie z głębi morza zwanego Kisielkowskiem wylatywały race po większej części do wody zamiast pod niebo. Koło ogrodu Strzeleckiego już czuć mobilizacyą: od kilku dni ziemia drży od wystrzałów, a koncerta wojskowe za darmo, ściągają znowu tysiące, jeżeli nie osób to centów za piwo do kieszeni pana przedsiębiorcy. Pohulanka, Zofiówka roją się od gości, lasek Węgliński więcej miał osób niż drzew przez te dwa dni Zielonych świątek i gdyby tak zapytano kogoś: „czego najwięcej było w tym lesie?" Nie mógłby odpowiedzieć drzew, ale tylko: par zakochanych.

Pohulanka, trzeba przyznać, jest to jedno z najprzyjemniejszych miejsc spaceru w okolicach Lwowa, szkoda tylko, że do niej nakształt cholerycznego prądu wiedzie wstążką nadobna Pełtew, przepełniona zapachem różnych wonności nieznanych innym miastom europejskim... Ubrana w puchy wytłoczyn chmielowych, któremi przyozdabia je browar piwny p. Kleina, ta skromna dziewica lwiego ogrodu, przedewszystkiem działając na nasze nosy obywatelskie przypomina, że pan Ihnatowicz wyrabia sławną wodę także lwowską zwaną, bez ktorej jednak w tamte strony puszczać się niepodobna... Dobrana muzyka, ma się rozumieć do zapachu Pełtwi, uprzyjemnia tam gościom spijanie sążnistych halb piwa, a taniec bosych obierwańców, którzy sobie dają co niedziela rendez-vous na Pohulance, nadzwyczaj pomaga do trawienia.

I wysoki Zamek miał w tych dniach tysiące spacerujących, jeszcze bez towarzystwa koni, powozów i pyłu, albowiem Rada miejska nie mogąc się uporać z wnioskiem o otwarcie tych miejsc dla ekwipaży — odracza wciąż decyzyą, czekając, jak kongres berliński, zesłania ducha świętego na oświecenie głów swoich. Zapisanych ma być dwunastu mówców za, i dwunastu przeciw otwarciu; o wyborze generalnego rzecznika nie może być mowy, bo u nas jak naprzykład niedawno w radzie państwa dobrowolnie już trzech nie może się zgodzić na jednego, więc cóż tu dopiero myśleć, gdy jest dwunastu!.. Niech się wygadają, wszak mury sali ratuszowej nie mają uszów i nie ogłuchną ani też wystąpią; — w najgorszym razie mogą tylko spać dalej...

Co się działo w cesarskim lesie, któremu przyświecała przez pierwszy dzień Zielonych świątek lwowska gwiazda — nie umiem powiedzieć. Jednak musiała się ta leśna zabawa udać w zupełności, bo reporterzy dziennikarscy milczą, a we Lwowie już jeżeli o kim milczą — to znać, że błogosławieństwo Boże spoczywa na jego głowie.

U nas, jak obliczyłem z moim przyjacielem, przynajmniej co dziesięć dni musi być jakaś awanturka, niby to ofiara rzucona Molochowi ciekawości publicznej... Jak się nic takiego nie stanie, pewna koterya polująca na nowości, gotowa sprowokować coś w tym rodzaju, aby było o czem pisać. W upłynionym tygodniu z tytułu sądzenia sprawy dozorcy Zakładu Kulparkowskiego, wyszło łamanie żeber obłąkanym, w nowej poprawnej edycyi. Szanowny dyrektor tego Zakładu wezwany na świadka, machnąwszy ręką z miną desperacką, gdy była mowa o separatkach, dolał oliwy na ogień oburzenia publicznego. Proszę tylko szanownych czytelników pod nazwą separatki nie rozumieć żony, która z mężem nie żyje, jak to pojmuje kodeks Napoleona, albo też karetki pocztowej dodawanej do zwykłego dyliżansu. Jedna i druga separatka taka nie są tak straszne jak owa trzecia w Zakładzie obłąkanych na Kulparkowie, do której wsadzają niesfornych furyatów. Żona separatka po większej części cieszy się, gdy ją sąd prawnie uwolni od męża, separatka kareta również jest poszukiwaną przez podróżnych, bo w niej daleko wygodniej jechać niż w głównym żółtym wehikule nazwanym dyliżansem. Ale kto się dostanie do trzeciej, to pan dyrektor Zakładu machnięciem ręki i miną bez nadziei, pokazał, co go tam czeka...

Mógłbym wiele dobrego, a przynajmniej nie tak strasznego powiedzieć o tych separatkach kulparkowskich, coby uspokoiło rozdrażnioną opinię publiczną, ale nie zrobię tego dla prostej życzliwości czytelników moich.... Owszem niech wszyscy myślą, że tam jest ogień piekielny, że tam same tortury średniowieczne, coś ponurego, ciemnego, przerażającego, prawdziwa otchłań za życia... Wyobrażenie takie o separatce kulparkowskiej tylko na dobre wyjdzie krajowi i funduszom obłąkanych, już teraz nikt, wiedząc co go tam może czekać, nie zwaryuje, a jeżeli mimo to nie będzie się mógł powstrzymać, to przynajmniej zwaryuje po pańsku, delikatnie, grzecznie i przyzwoicie, aby go do separatki nie wpakowano.

Z całej tej sprawy podobno więcej hałasu niż rzeczy, bo takie wypadki, jakie miały miejsce w Kulparkowie, bardzo się często w Zakładach dla obłąkanych zdarzają, a zresztą pojechała tam na miejsce komisya pod przewodnictwem ekscelencyi samego namiestnika, i ta orzecze, o ile w tem wina Zakładu i służby, tudzież nakaże środki, aby podobne zdarzenia na przyszłość nie miały miejsca... Po takiej inspekcyi możemy już bezpieczniej waryować mając zagwarantowaną całość naszych żeber.

Na polu literackiem cisza: poeci studyując słowików, nie mają czasu do śpiewania, jeden

tylko nigdy nieprzeczerpany Chochlik sypie dowcipem jak z rękawa i od niechcenia spisuje historyą takiego tarnopolskiego kupca..... jaką obdarzył nas w fejletonie ostatni numer „Szczutka...“ Boże kochany, zkąd temu człowiekowi bierze się ten humor i dowcip, pomimo ciężkich prób, jakiemi los go obdarza?... Przerzućcie setki pism humorystycznych cudzych, a ręczę wam, nie znajdziecie tam ani jednego tak wesołodowcipnego wiersza, jak owa historya kupca z Tarnopola.

Kiedy piszemy niniejszą kronikę, pierwsza serya wyścigów konnych odbyła się już w dniu 9go czerwca wobec tysięcy widzów zgromadzonych za rogatką Janowską. Biegów było pięć: Pierwszy Produce Stakes (bieg przychowku), co jak objaśnia sprawozdanie urzędowe, znaczy: „że koń podany musi być źrebięciem na trzy lata naprzód.“ Otóż takich koni, które były naprzód źrebiętami, pokazało się, że u nas w Galicyi jest to tylko jedna Revanche klacz p. Mysłowskiego, i ta jako szczególniejszy okaz tego rodzaju teraźniejszości z przeszłością obiegła arenę i wzięła 75 dukatów... Drugi bieg nagroda dam z puharem p. Ochockiego dostała się klaczy p. Nikorowicza nazwiskiem *Wystarczy*. I nic dziwnego: szły z nią razem *Kalumnia**) p. Czajkowskiego i *Nadzieja* porucznika Delimowskiego... O Nadziei nie ma co wspominać, bo kto dziś jeszcze wierzy nadziei, która jak wiadomo, jest matką głupich. Nie wiemy czy Nadzieja p. Delimowskiego ma już córkę, ale to wiemy, że nie dopisała, jak wszystkie nadzieje w tych ciężkich czasach. Lecz że Kalumnia nie odniosła tryumfu, to jest rzeczą zastanowienia godną we Lwowie, i tem chyba można jej przegraną wytłumaczyć, że wyścigi odbywały się za rogatkami miejskiemi, a nie na bruku lwowskim. W trzecim biegu Joung Blinkhoolie p. Mysłowskiego zabrał 700 reńskich nagrody Towarzystwa, a w czwartym gdy chodziło o 1.000 złr. nagrody cesarskiej, z powodu rozkapryszenia się Elektora hr. A. Heydla, zagraniczna Hungaria hr. Henckel Donnersmarck o ćwierć nosa dobiegła wprzód mety i wzięła 1225 zł. ren. Co to jednak znaczy większa niż zwykle długość nosa? Ostatni bieg z przeszkodami doznał rzeczywistych przeszkód i szkód nie mało, bo porucznik Luy podobno zwichnął sobie nogę, a Salviom, klacz rotmistrza Vaccano, zwyciężywszy wszystkie przykrości podróży, wzięła 400 zł. nagrody....

O dalszych wyścigach podamy sprawozdanie w następnym Numerze Tygodnia.

* * *

Prześwietny magistracie! zmiłuj się nad naszemi płucami i zarządź, aby ulice Lwowa były zamiatane, nie jak obecnie między 8 a 10tą godziną, ale przed ósmą. Godzina ósma jest to pora, kiedy młodzież szkolna idzie do szkół, urzędnicy do biur, kupcy do handlów, gospodynie na rynek — jest to pora, kiedy największy ruch panuje w mieście, kiedy wszyscy ludzie pracujący są na ulicy, a tu tumany kurzu zasłaniają horyzont, gryzą oczy i wdzierają się w najgłębsze zakątki płuc naszych. Paryż jest zamieciony przed godziną 4tą, a Paryż to także nie małe miasteczko. Tego co się dzieje w Paryżu, nie możemy żądać we Lwowie, ale od 4ej do 8my jest jeszcze godzin cztery. Jeżeli więc paryskie zamiataczki mogą stawać do roboty o godzinie trzeciej, czyby nasze lwowskie nie mogły np. o szóstej? Do szóstej godziny można się wyspać, nawet nie zdrowo jest w lecie sypiać do ósmej, przytem z rana i chłodek więcej sprzyja do pracy na ulicy, a przecież i płuca opodatkowanych mieszkańców Lwowa także mają swoje prawa.

*) W programie stoi *Kalunia*, my licząc, że to pomyłka drukarska, postawiliśmy Kalumnia.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Listy Jana Śniadeckiego* w sprawach publicznych od r. 1788 do 1830 pisane, z autografów wydał w Poznaniu J. K. Żupański. Wstępem i przypiskami opatrzył J. I. Kraszewski. Z wyjątkiem kilku, zawarte w tym tomie listy Śniadeckiego są zupełnie nieznane i po raz pierwszy publikowane. Stanowią cenny materyał do uwydatnienia znakomitej postaci autora i rzucają wiele nowego światła na tę epokę, zwłaszcza na czasy poprzedzające trzeci rozbiór kraju i porozbiorowe.

*** Odpowiedź na sprawozdanie komisyi kontrolującej w przedmiocie nieprawidłowości wykrytych w zarządzie krakowskiej kasy oszczędności, złożone przez dr. M. Bochenka wielkiemu wydziałowi tejże kasy. Napisał K. A. Autor rozprawy o „Stopie procentu“ w Ateneum 1878 roku. Kraków, 1878 r. O dziele tem wspomina autor w korespondencyi z Krakowa (w nr. 39 „Tygodnia“), gdzie i samę kwestyę w krótkości rozbiera.

*** Poëtes illustres de la Pologne au XIX. siecle. Cykle ukrainien. I. Antoine Malczewski. II. Bohdan Zaleski. III. Sévérin Goszczyński. Nice, 1878 r.

*** W Krakowie wyszedł z druku nakładem autora pt. „Litwa,“ dramat liryczny w czterech aktach na tle Lituanii Artura Grottgera. Oraz kilka ulotnych wierszy napisał Ajram.

*** *Neue illustrirte Zeitung* podając drzeworyt z obrazu Antoniego Kozakiewicza „Polscy powstańcy,“ daje taką ocenę tego obrazu: „Wszyscy wybitniejsi malarze polscy obracają się przeważnie w zaczarowanem kole patryotycznych tematów, które każdy z nich obrabia według swego indywidualnego usposobienia i talentu. Niesłychana boleść spowodowana rozszarpaniem ojczyzny i jej tyloletniem cierpieniem, skarży się wymownie we wzniosłych kompozycyach Grottgera. Matejko protestuje swoimi mistrzowskiemi obrazami przeciw przemocy moskiewskiej. Kozakiewicz zaś, którego obraz podajemy, przedstawia tę samą rzecz tylko ze strony więcej spokojnej i realnej. Oddział polskich powstańców prawdopodobnie wyparty na terytoryum austryackie, został rozbrojony i internowany w jakimś klasztorze. Pobyt ich tamże przedstawia obraz Kozakiewicza. Odznacza on się temi samemi zaletami, jakie podnieśliśmy podając niedawno inny obraz tego artysty, a mianowicie wielkim talentem spostrzegawczym i łatwością charakteryzowania indywidualności przedstawionych osób. Widać, że osoby te studyowane są z natury, a wartość ich podnosi znakomita technika, jaką się odznaczają kompozycye tego zdolnego artysty.“

Obraz ten obecnie znajduje się na krakowskiej wystawie.

*** Inne pismo ilustrowane „Die Heimat“ podało niedawno drzeworyt z obrazu Fr. Streita. „Przykra służba,“ a przedstawia psa, którego zostawiono przy śpiącem dziecku. Dziecko się przebudziło i krzyczy w niebogłosy. Psa niemile drażni ten krzyk, radby uciec; ale nie może zdecydować się na opuszczenie dziecka powierzonego jego opiece. Te dwa uczucia walczące w nim wywołują komiczny efekt i nadają obrazowi wiele humoru.

F. Streit jest rodem z Krakowa, a bawi od kilku lat w Monachium, gdzie wyrobił sobie już wcale zaszczytne miejsce w świecie artystycznym.

*** Konkurs Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu ogłoszony na posiedzeniu publicznem tegoż Towarzystwa d. 3. maja 1878 r.

Stosownie do ogłoszenia swojego z d. 3. maja zeszłego roku, Rada Towarzystwa miała na posiedzeniu dzisiejszem rozwiązać konkurs przeszłoroczny, i albo uwieńczyć jednę z przysłanych jej rozpraw, odpowiadających na postawione zadanie, albo też nagrodę konkursową przyznać najlepszemu według jej zdania dziełu historycznemu, ogłoszonemu w polskim języku, w ciągu ostatnich lat trzech; jednocześnie też miała wyznaczyć zadanie na nowy, dwuletni konkurs.

Do dnia 1. marca br., jako ostatecznego terminu konkursu, Rada nie otrzymała żadnej pracy odpowiadającej na swoje zadanie, którem było: „Wykazanie przyczyn, wewnętrznych i zewnętrznych, upadku kościoła unickiego na Rusi i Litwie w XVIII. i XIX. wieku“; doszły ją jednak z najpoważniejszych źródeł bezimienne zgłoszenia się z prośbą o przedłużenie terminu konkursu o rok jeden, dla możności dokończenia daleko już posuniętych prac nad ogłoszonem zadaniem. Rada Towarzystwa do tych żądań przychyla się tem chętniej, iż wielką do tego przedmiotu przywiązując wagę, z pociechą prawdziwą widzi, że się nim u nas nareszcie zajęto, same zaś pobudki jakie żądający przedłużenia termin przytaczają, już bardzo gruntownych prac spodziewać się każą; dlatego też Rada termin wspomnionego konkursu przedłuża do 1. marca, następnego, 1879 roku.

Przystępując z kolei do wyznaczenia zadania konkursowego na następujące dwulecie, rada Towarzystwa, pragnąc ze swojej strony zachęcić pracowników naszych do obejrzenia ogółu wydanych w ostatnich czasach materyałów i świadectw historycznych, odnoszących się do pierwotnych dziejów naszych, i wyciągnięcia nowych poglądów i wniosków, z tego właściwie nietkniętego jeszcze prawie kapitału, przedmiot dwuletniego konkursu wyznacza: „Panowanie Mieczysława starego, według najnowszych źródeł, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków wewnętrznych i na tle obrazu politycznego, kościelnego i społecznego jego epoki“.

Warunki obydwóch konkursów pozostają dawniejsze.

Żądana praca odpowiadająca na wymienione zadania, napisana w języku polskim, ma wynosić od 10 do 15 arkuszy druku. Nagroda 1800 franków, będzie mogła być rozdzieloną na dwie części; najlepsza w takim razie rozprawa otrzyma 1200 fr., następująca po niej 600 fr.

Kto sobie życzy brać udział w tym konkursie, zechce przysłać swą pracę w rękopismie, pod adresem sekretarza Towarzystwa historyczno-literackiego (Paryż, Quai d'Orléans 6) albo p. Józefa Szujskiego, profesora historyi w uniwersytecie krakowskim, sekretarza generalnego akademii umiejętności (Kraków, w uniw. Jagiellońskim). Rękopisma powinny być przysłane bezimiennie i opatrzone godłem wybranem przez autorów, a toż samo godło ma się znajdować na listach zapieczętowanych, które autorowie do rękopismów dołączą. Terminem ostatecznym dla przesyłania rękopismów odpowiadających na zadanie, jest jak powiedziano wyżej, dzień 1. marca 1879 r., dla prac tyczących się zadania drugiego, tenże dzień 1. marca 1880 r.

Na posiedzeniach publicznych d. 3. maja 1879 i 1880 rada Towarzystwa przyzna nagrody i zarazem odpieczętowane będą listy noszące odpowiednie godła i ogłoszone imiona autorów. Inne listy zostaną spalone.

Gdyby do dnia 1. marca 1879 i 1880 roku nie były przysłane żadne tego rodzaju prace, któreby w myśl obecnego konkursu zasługiwały na nagrody, w takim razie na każdym ze wspomnianych posiedzeń publicznych suma 1800 franków ofiarowaną będzie autorowi dzieła historycznego polskiego, które w ciągu tego roku lub dwóch lat wyjdzie z druku i które rada za najlepsze osądzi.

Paryż 3. maja, Quai d'Orleans 6. maja 1877.
W imieniu Towarzystwa
sekretarz *Br. Zaleski.*

Stowarzyszenia.

*** Ze sprawozdania wydziału Towarzystwa bratniej pomocy uczniów wyższej szkoły rolniczej w Dublanach z czynności za czas od 1. listopada 1877 do 1. maja 1878 r. dowiadujemy się, iż Towarzystwo to liczyło członków rzeczywistych 50, honorowych 44. Miało przychodu 470 złr., rozchodu 376. Fundusz żelazny wynosił 581, posiada u członków byłych i obecnych 1.328. W bibliotece dzieł 612 w 887 tomach. Prenumeruje 37 czasopism.

Przychód powstał: Pozostałość kasowa z r. 1877 66 złr. Wkładki członków 128, zwrot długów od

członków 140. Sprzedaż skryptów 27, odsetki od funduszu żelaznego 15. Nadzwyczajne dochody 5. Razem 470.

Rozchód: Pożyczki członkom, druki etc. 159 zł. Zakupno książek 45 zł. Prenumerata czasopism 29, inne wydatki biblioteczne 39 złr., do funduszu żelaznego 103 złr. Majątek Towarzystwa wynosi 2.004 złr.

Towarzystwo posiada 6 pism politycznych, między któremi jednak żadnego z wychodzących pod zaborem pruskim.

Wynalazki i odkrycia.

⁂ Zegar decymalny. Niejaki p. Ferdynand Noll z Brandenburga przesłał na wystawę paryską, a specyalnie na międzynarodowy kongres pocztowy, rysunki z planu zegaru decymalnego swego pomysłu, oraz dwa modele takiego zegaru. Celem wynalazku jest zastosować do wymiaru czasu system dziesiątkowy tak samo, jak go już zastosowano do miar, wag i monet. Pan Noll dzieli dobę na 20 godzin po 100 minut, minutę na 50 sekund, sekundę na 50 tercyi.

ROZMAITOŚCI

⁂ Lord John Russel, słynny angielski mąż stanu i przywódzca stronnictwa whigów, zakończył życie dnia 28. maja. John Russel był synem, trzecim z kolei, księcia Bedford. Przyszedł na świat 18. sierpnia 1792, liczył więc 86 lat. W kolegium Sanbury, oraz na wszechnicy edynburskiej otrzymał pierwsze wykształcenie, poczem 17letnim młodzieńcem zwiedził Europę i bawiąc w Hiszpanii umiał sobie zjednać względy ówczesnego dowódzcy wojsk angielskich tamże, ks. Wellingtona. W czasie tej podróży próbował się na polu literackiem, napisał był mianowicie dramat Don Carlos, który jednak nie miał na scenie powodzenia. Tak samo powieść jego Esquisses chłodno została przyjęta w Anglii. Natomiast biografia lorda Williama Russela, jednego z przodków Johna, w krótkim czasie miała liczne wydania. Lord John Russel w r. 1813 wybrany został w Davistok do Izby gmin parlamentu, gdzie stanowczo się oddał kierunkowi postępowemu. Zaczęto się z nim liczyć, kiedy po raz pierwszy wystąpił przed Izbę z gruntownie opracowanym i motywowanym wnioskiem względem reformy wyborczej. Wniosek ten został wprawdzie uchylony, lecz Russel wytrwale przedkładał go Izbie na każdorocznej sesyi i po czternastoletnich usiłowaniach i niestrudzonej agitacyi przeparł go w końcu. Dnia 11 czerwca 1832 Russelowski bil reformy stał się jedną z zasadniczych ustaw konstytucyjnych w Anglii. Oczywiście, podniosło to niezmiernie powagę wnioskodawcy w oczach całego kraju; od tego też czasu lord Russel uważany był za głowę w higów w Izbie gmin i utrzymał się na tem stanowisku aż do sędziwego wieku. Większą część wolnomyślnych reform, przeprowadzonych w parlamencie angielskim po roku 1832, zawdzięcza Anglia bezpośredniej lub pośredniej inicyatywie Russela, oraz jego znakomitej taktyce parlamentarnej. Ile razy whigowie stali u steru rządu, znajdował się i on pomiędzy nimi; od r. 1830 — 1834 był płatnikiem wojennym, od 1835 do 1841 ministrem spraw wewnętrznych, od lipca 1846 do 1852 prezydentem rady ministrów, od grudnia 1852 do 1855 ministrem spraw zagranicznych, który to urząd powierzony mu został przez królowę znowu w roku 1859 i który zajmował do 1865. W rok później, jako premier zakończył lord Russel zawód swój męża stanu. Po upadku ministerstwa Derby-Disraeli nie chciał już przyjąć udziału w whigowskim gabinecie Gladstona, (r. 1868) jednakowoż w ważnych sprawach bieżących niejednokrotnie jeszcze podnosił głos publicznie.

SZCZĘŚLIWA MYŚL.

Nowella.

Trzej mężczyzni kończyli obiad w Café anglais; przepyszny kapłon, nadziewany truflami, znikł już prawie z półmiska pod natarczywym atakiem biesiadników, gdy jeden z nich, Trincart, z rozpromienioną twarzą i pełnemi usty, zawołał wesoło:

— Prawda, że szczęśliwa myśl?!

— Cudowna! — odparł Grangemont.

— Idealna! — zawyrokował Saint-Esteve.

Po lakonicznej tej rozmowie nastąpiła znowu cisza, przerywana tylko brzękiem kieliszków, przeprowadzających Chateau Yquem do spracowanych żołądków. Trincart po chwili zabrał głos powtórnie.

— Łączą nas — rzekł — związki przyjaźni, których nic rozerwać nie zdoła. Ty, Grangemont, uratowałeś mi życie.....

— Z procentem już mi to oddałeś...

— Ty, Saint-Esteve, nie opuściłeś żadnej sposobności, aby dać nam dowody swego poświęcenia.....

— Wielkie rzeczy! naśladowałem tylko wasz przykład!...

— Koniec końców, jesteśmy przyjaciółmi, jakich nie wielu na świecie; szczerzy, serdeczni, przyjaciółmi na śmierć i życie. Jak ja dałbym się zabić dla was, tak wy, jestem przekonany, pozwolilibyście się za mnie posiekać na kawałki. Słusznie poszczycić się może człowiek, co taką przyjaźń potrafił zjednać sobie, jak wasza....

— Jak twoja! — odpowiedzieli jednozgodnie Grangemont i Saint-Estéve.

I dłonie trzech przyjaciół złączyły się serdecznym uściskiem po nad szczątkami kapłona, niegdyś truflami nadziewanego.

Chateau Yquem widocznie nie próżnował.

— Śmierć jedna tylko może nas rozłączyć — ciągnął dalej Trincart, po krótkiej chwili poświęconej na strawienie wybuchu rozrzewnienia.

— Nawet i śmierć nie! — zawołał czuły Grangemont.

— Nie przesadzajmy. Śmierć, powtarzam, może nas rozłączyć, ale dzięki propozycyi mojej, śmierć sama będzie nowem świadectwem naszej przyjaźni.

— Rozumie się!

Nowy wylew uczuć, doszedł by może do niepraktykowanych rozmiarów, gdy nagle Grangemont podniósł się i oratorskim tonem wzniósł następujący toast:

— Panowie! wznoszę zdrowie wasze! żyjcie w jak najdłuższe lata! ja bowiem mam niepłonną nadzieję, że najpierwszy z was umrę!

— Cóż znowu! pod tym względem mnie się pierwszeństwo należy — zaprotestował Trincart. — Mam początki wodnej puchliny!

— Nie spuszczajcie się napróżno — przerwał Saint-Esteve — bo sami wiecie najlepiej, że ja muszę was na tamten świat wyprzedzić.

Smutne te a zarazem tak szlachetne myśli nie przeszkodziły bynajmniej naszym przyjaciołom zjeść deser, wypić czarną kawę, zakropić wszystko likierem i zapalić prawdziwe *brevas*.

Nareszcie powstali od stołu. Przed rozstaniem się jednak, Saint-Esteve zażądał jeszcze głosu

— Stawiam wniosek — rzekł — abyśmy corocznie zbierali się tutaj w tym samym dniu.

— Przyjęto!

— Pod żadnym pozorem nie wolno będzie wyłamać się z tego obowiązku, czy to nie widząc się od dnia poprzedniego, czy też od jedenastu miesięcy.

— Przyjęto!

— Każdy z nas, gdziekolwiek by zamieszkiwał, w Afryce czy w Japonii, w Australii czy na Kamczatce, obowiązany będzie puścić się w drogę, aby stanął na progu Café Anglais, 23 maja, o godzinie trzy kwadranse na siódmą po południu.

— Przysięgamy!

Uścisnęli się i rozstali. Autor nie zaręcza, czy na białej kamizelce tkliwego Grangemont nie pojawiła się łza rozrzewnienia.

Nazajutrz wszyscy trzej stawili się u notaryusza i zeznali akt, mocą którego zapisali sobie wzajemnie swe majątki, na przeżycie. Oprócz tego każdy z kontrahentów zobowiązał się zabezpieczyć swe życie na sumę stu tysięcy franków, wypłacalną po śmierci ubezpieczonego, do rąk pozostałego przy życiu. Następnie podpisali akt własnoręcznie, uściskali się raz jeszcze, i każdy mógł przysiądz, że podobnej jak ich przyjaźni nie było i nie ma na świecie.

Trincart miał lat czterdzieści sześć, Grangemont czterdzieści dziewięć, a Saint-Esteve, przyznający się głośno do trzydziestu ośmiu, kończył już czterdziestą piątą wiosnę swego życia.

Każdy z nich dotąd był zdrów jak ryba. Zimno, upały, epidemie i zarazy, nic im nie szkodziły. O chorobach pozostało im tylko niewyraźne wspomnienie z lat dziecinnych, gdy leczono ich tyzanną, ulopkiem, albo rumiankiem. Febry i gorączki, migreny i reumatyzmy były dla nich czczem słowem, wymysłem aptekarskim. Jedynie co zagrażać im mogło, po najdłuższem wesołem, natruflowanem życiu, to podagra, ale przypuszczenie to zarysowywało się w tak odległej, tak dalekiej przyszłości....!

Pomimo tego wszystkiego, nie później jak w cztery miesiące po owej przyjacielskiej uczcie, Saint-Esteve uczuł mocny ból gardła.

— Masz tobie! — pomyślał. — Miałżebym teraz chorować? to byłoby coś dziwnego!

I zaczął marzyć.

Grangemont przeczekał dłużej nieco. W pół roku jednak zauważył w sobie widoczny i regularny upadek na siłach.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał sam siebie.

I rozjaśnione pełne zdrowia oblicze Trincarta przesunęło mu się w pamięci.

— Filut! — mruknął — wiedział dobrze, co robi.

Grangemont mylił się przecież. Starzeli się wszyscy trzej i Trincart razem z nimi. Uczuł on ból w lewej nodze, z początku nieznaczny, następnie coraz dotkliwszy. Nigdy ani przez myśl mu nie przeszło, aby coś podobnego mogło go było spotkać. Zaraz też przypomniał sobie akt donacyjny i zabezpieczenie na życie, a wraz z tą myślą wyobraźnia przedstawiła mu dwóch zmartwionych przyjaciół, postępujących za jego pogrzebem.

— Zmartwieni! — szepnął — kto wie? ja byłbym zmartwiony, ale oni? Ten Grangemont naprzykład. Zawsze go posądzałem, że miał w tem jakiś interes, aby mi życie ocalić.. Bądź co bądź, nie chciałbym pierwszy umierać; drugi, nie mówię; ale pierwszy! Zresztą pierwszeństwo należy się kochanemu Saint-Esteve, który niegdyś dostał porządne pchnięcie szpadą na wylot, a z takich rzeczy, nigdy się na dobre wyleczyć nie można. Zostałby się więc tylko sam Grangemont, a on jest tak czuły, że zapewne, jak mówią w romansach, zechce wyprzedzić mnie do nieba.

W jakiś czas później, Grangemont wstał pewnego poranku z głową ciężką, z dusznością w gardle, z językiem białym zupełnie; jednem słowem czuł się zupełnie niedobrze.

— Co to jest? — zawołał. — Mamże ja pierwszym być z rzędu?.. Czemużby nie? Nie chwaląc się, tyle ich kocham, że gotówbym....

Zaczął mówić ze śmiechem, ale w połowie zdania uśmiech zmienił się w gorzki grymas jakiś.

— A jednak — rozumował dalej — nie należy być większym papistą od samego papieża.... Że kocham ich, to prawda, ale to jeszcze nie racya, żeby mnie samemu pilno było umierać... Nawet w przykazaniach nie powiedziano, abyśmy bliźniego kochali więcej, aniżeli siebie samego.....

Nie mam nic przeciwko temu, żeby żyli tak długo jak ja; ale dla czegoż nie miałbym żyć tak długo a chociażby i dłużej jak oni?... Saint-Esteve otrzymał ciężką ranę w pojedynku, jaki odbył w mojej obronie; Trincart zaś wielokrotnie powtarzał nam, iż w jego rodzinie mężczyzni nigdy dłużej nad sześćdziesiąt lat nie żyją. W każdym razie, śmierci im nie życzę, broń Boże! ale... trzeba się poradzić lekarza.

Jak powiedział, tak zrobił, wezwał doktora. Trincart podobnież zasięgał rady lekarskiej. Skończyło się na tem, że z chorób imaginacyjnych wytworzyły się przy kuracyi choroby, których pacyenci nawet nie domyślali się w sobie.

Silna natura przemogła jeszcze i z upływem roku, wszyscy trzej prawie tak samo weseli, tak samo zgłodnieli i również przyjaźnie usposobieni, zeszli się o godzinie trzy kwadranse na siódmą, dwudziestego trzeciego maja, w tym samym oddzielnym gabinecie Café anglais.

Kapłon z truflami i Chateau Yquem nie uniknęły swego losu.

A przecież żołądki współbiesiadników okazały się mniej przysposobionemi do uczty; w głowach zaszumiało prędzej niż w roku zeszłym, chociaż znacznie mniej pili. Objawy rozrzewnienia nastąpiły znacznie wcześniej; Grangemont już przy pieczystem miał łzy w oczach.

Nazajutrz Trincart niemiłe miał przebudzenie, wskutek znacznej ilości spożytych trufli. Musiał pozostać w łóżku.

Biedny człowiek, nigdy w życiu jeszcze tyle nie wycierpiał! zdawało mu się, że stoi nad grobem.

— Co to ma znaczyć taka nagła niedyspozycya? — zapytał sam siebie w przerwach pomiędzy atakami — tyle razy jadłem trufle, a nigdy mi nie szkodziły! Czytałem kiedyś — dodał ciszej — w sprawozdaniach sądowych.... Co też za myśli przechodzą mi do głowy!... Oszalałem, czy co? niepodobna przecież, aby Grangemont, człowiek, który uratował mi życie...! Tak, to prawda, ale

wtenczas nie był jeszcze moim spadkobiercą! Zresztą, nie oskarżam go.

Co się tyczy Saint-Esteve, za tego bym nie ręczył. Człowiek, zdolny zabić w pojedynku swego bliźniego, na wszystko może się odważyć... Przypominam sobie nawet, że wczoraj podczas obiadu wyszedłem na chwilę z Grangemontem, nie pamiętam już po co.... Ah! co za boleści w żołądku!.. Oh! gdybym był tylko pewnym tego, oskarżyłbym go natychmiast; gilotyna nie minie go...

Tak — zakonkludował — ale tymczasem ja się na tamten świat przeniosę.

Co najzabawniejszego, że jednocześnie rozchorowali się i Saint-Esteve i Grangemont. Być może, że wszyscy trzej zjedli coś niestrawnego; a może też jedli za wiele, zwłaszcza że od pół roku zachowywali ścisłą dyetę.

Dość, że u nich objawiły się też same symptomata choroby.

Saint-Esteve mocno był niemi dotknięty.

— Coś w tem jest — rozmyślał. — Od chwili podpisania tego aktu, jednego dnia nie czułem się zupełnie zdrowym. Byłoby to nikczemnością z ich strony!

Grangemont oskarżał wprost Trincarta.

— On to zaproponował wzajemne ubezpieczenie na życie. Miał plan z góry uknuty, nic dziwnego, że nazwał go szczęśliwą myślą! I niech kto powie, żeśmy się dali złapać na coś podobnego! Biedny Saint-Esteve! takie dobre serce! gotów jeszcze umrzeć z tego! zresztą nic mnie to nie obchodzi, tem bardziej, że nie jestem pewny, czy to jest rzeczywiście sprawka tamtego.

Spotkawszy się nazajutrz, żaden z nich, nie wymawiał o wczorajszym strachu. Owszem, każdy starał się przybrać najswobodniejszą minę, aby ci, których nazywał swymi katami, przekonali się, że nie powiódł się ohydny ich zamach.

Przez cały rok, jakby się zmówili, ani razu nie jedli wspólnie obiadu. Co więcej, unikali się wzajemnie o ile to było możliwem. Nie przeszkodziło to jednak, że każdy z nich uległ jakiejś chorobie, a Bogu jednemu tylko wiadomo, jakie straszne myśli przechodziły im wtenczas po głowie.

Pewnego razu Trincart zapytał przyjaciela Saint-Esteve:

— Widziałeś kiedy Paryż z kolumny Vendome?

Saint-Esteve pobladł i odrzekł:

— Nigdy; ale z pewnością z tobą nie wszedłbym na szczyt kolumny. Gotów byłbyś rzucić się z niej.

W słowach tych mieściła się krwawa ironia. Grangemont, obecny tej rozmowie, zadrżał usłyszawszy je Saint-Esteve, spostrzegłszy, jakie wywołał wrażenie, pewnym był od tej chwili, że obaj przyjaciele chcą się go pozbyć jak najprędzej.

Nadeszła druga rocznica 23 maja. O godzinie oznaczonej nie było żadnego z przyjaciół. Później dopiero pojawił się Saint-Esteve; po kwadransie przyszedł Grangemont, ostatnim był Trincart.

Zasiedli do stołu.

Nie byli to już ci sami co dawniej, biesiadnicy!

Wszyscy trzej wychudli strasznie, oczy im pozapadały, czoła pomarszczyły, usta zbladły, pełne niegdyś oblicza zwiędły i straciły rumieniec.

A śmiech, ów dźwięczny, rozgłośny śmiech, przeniósł się w dziedzinę wspomnień.

Saint-Esteve, pragnąc udawać wesołego, rzekł przed rozpoczęciem obiadu:

— Obawiałem się, że nie przyjdziecie może na dzisiejszą uroczystość.

Na te słowa Trincart i Grangemont zerwali się na równe nogi, jak gdyby śmierć im w oczy zajrzała.

Usiłowali jednak utrzymać się na ożywionej stopie poprzednich obiadów. Ale podejrzenie zakradło się wśród nich i psuło wszelkie zachcianki dobrego humoru.

Kiedy garson wniósł zupę, Trincart kazał wazę przed sobą postawić i sam napełnił talerze swoich przyjaciół. Uprzejmość ta nie bardzo im się podobała.

Co gorsza, kiedy już zaczęli jeść, on odsunął swój talerz i położył łyżkę.

Saint-Esteve miał wielką ochotę schwycić go za gardło i udusić zbrodniarza.

Wszyscy trzej spojrzeli sobie bacznie w oczy, i po pewnym namyśle zjedli przecież zupę

Prawda, że oprócz zupy, nic więcej nie zjedli; gdy Saint-Esteve ukrajał trzy kawałki chleba, Trincart przypomniał sobie ów sławny nóż Borgiów, zatruty z jednej strony; kapłon i trufle zostały nietknięte na półmisku; że jednak nie jedząc pili więcej niż zwykle, spoili się kompletnie, i nazajutrz wszyscy trzej chorowali bardziej niż kiedykolwiek; łatwo wyobrazić sobie, jak się błogosławili wzajemnie.

Od tej chwili zaczął się dla nich peryod bezustannej obawy, posuniętej aż do szaleństwa. Wszystkich niepokoiło. Trincart sam kupował dla siebie żywność, sam przyrządzał i bał się jeszcze jedząc samotny w zamkniętym pokoju.

Saint-Esteve tylko nieuważnie wychodził z domu, a jadał codzień w innej restauracyi.

Grangemont oddalił lokaja, którego znali obaj przyjaciele, a w miejsce jego przyjął do służby kucharkę.

Pewnego dnia szukając czegoś w kuchni, znalazł w papierku szczyptę proszku białego.

Tknięty takiem przeczuciem, pobiegł do najbliższej apteki z zapytaniem, co to być może.

Aptekarz oświadczył, że to arszenik.

Z apteki na policyę kilkanaście kroków tylko. Nie tracąc czasu, oskarżył kucharkę o zabójcze zamiary.

Wytoczone śledztwo sprawdziło, że arszenik rzeczywiście użytym był przeciwko szczurom, i kucharkę uwolniono od wszelkiego zarzutu. Grangemont pomimo to przekonany był, iż kucharkę namówił i przekupił Trinkart, który, kto wie, może i w policyi miał stosunki.

— Nie, dłużej nie podobna tak żyć — rozpaczał — jutro, nie mówiąc o tem nikomu, jadę do Japonii, a choćby i na koniec świata, będę wojażował całe życie, aż do... ich śmierci. Wyborna myśl!

W miesiąc później na angielskim okręcie wpływał na wody Oceanu indyjskiego. Nie posiadał się z radości. Towarzysze podróży, uważali go za szalonego; może już nim był w istocie.

W Japonii przebył kilka miesięcy. Obawy wszystkie opuściły go. Pojechał do Ameryki.

Spędziwszy najprzyjemniej miesiąc czasu w San-Francisko, przechadzał się pewnego wieczora na Montgommery street, rozmyślając o Paryżu.

— Aż miło używać tu swobody, kiedy tam Trincart dobija poczciwego Saint-Esteve.

Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy na rogu ulicy spotkał się oko w oko z Trincartem.

— Jakto! ty, ty, tutaj! — zawołał jak trup blady.

— Czemużby nie, skoro i ty tu jesteś? — wyjąkał niemniej od niego blady Trincart.

Odpowiedzi tej nie było nic do zarzucenia.

— To prawda; ale jednak cóż tu robisz?

— Jak widzisz, przechadzam się; a ty?

— Przejeżdżam tędy do Kanady — może pojedziesz ze mną?

— Dziękuję ci, jadę właśnie do Pekinu.

I obaj wrócili do Paryża.

— Śledził za mną — mówił jeden — to rzecz widoczna. Ale wywiodłem go w pole. — Niech mnie teraz szuka w Kanadzie! Żałuję tylko, że nie miałem rewolweru przy sobie; tu takie rzeczy praktykują się.

Drugi pocieszał się w ten sam sposób

— Szukaj mnie łotrze w Pekinie; ja tymczasem odetchnę swobodniej na bulwarach.

Saint-Esteve tymczasem, nie wiedząc o nieobecności swych przyjaciół w Paryżu, przechodził niewypowiedziane męczarnie.

Nie śmiał pokazać się na ulicy; na każdym zakręcie, w każdym zaułku widział zaczajonych morderców, czyhających na jego życie.

Stan taki był nie do zniesienia; przychodziły chwile, iż gotów był w łeb palnąć obu swym niegdyś przyjaciołom.

Ukradkiem dowiadywał się o nich w mieszkaniu; o jednym i drugim powiedziano mu, że są w podróży. Wpadł na myśl, że to tylko podstęp i sam poszedł za tym przykładem; kazał swemu odźwiernemu mówić każdemu, że wyjechał na wieś.

Całymi dniami ukrywając się w domu, późno w noc wychodził na miasto, aby się posilić w jakiej odległej restauracyi. Cierpliwość jego dochodziła już do ostatnich granic i nie wiele już brakowało, aby sam sobie w łeb wypalił, gdy nagle niespodziewany wypadek zupełnie zmienił stan rzeczy.

Trincart pierwszy powrócił do Paryża i w przekonaniu, że Grangemont nurza się w śniegach Kanady, postanowił żyć i użyć za wszystkie czasy. Saint-Esteve nie wzbudzał w nim tak wielkiej obawy; w każdym jednak razie poszedł się dowiedzieć o niego.

— Pan wyjechał na wieś — była odpowiedź.

— Doskonale — pomyślał — teraz jestem zupełnie spokojny.

Od dawna nie czuł się tak swobodnym; dzień przeszedł mu jak jedna chwila, wieczorem wstąpił do klubu. Kiedy po sutej wieczerzy zbliżył się do stołu, gdzie grano w karty, usłyszał dobrze znany mu głos:

— Dwadzieścia pięć luidorów na damę!

— Grangemont! — zawołał przerażony.

— Trincart! Trincart!

Nastąpiła chwila milczenia, jakby obaj odurzeni byli niespodzianem spotkaniem. Ale milczenie nie trwało dłużej od błyskawicy. Doznany zawód przepełnił miarę nienawiści z obopólnej i miejsce strachu gniew zastąpił.

— Tego już za wiele! — wyrzekli obaj razem, podchodząc ku sobie z zaciśniętemi pięściami.

— Łotr! — krzyknął Grangemont.

— Truciciel! — zaryczał Trincart.

— Znam cię ptaszku!

— Twoje to niecne sprawki!

I z zaciekłą wściekłością rzucili się na siebie, bijąc się i policzkując. Obecni zaledwie zdołali ich rozdzielić. Z trudem ułagodzono ich o tyle, że zgodzili się doczekać jutra, aby odbyć w lasku Vincennes śmiertelny pojedynek.

Bili się na szpady. Kiedy stanęli na stanowisku, rzucili się na siebie z zgrzytaniem zębów, jak dwaj szaleńcy i jednocześnie obaj padli na ziemię.

— Morderca! — szepnął Trincart.

— Truciciel! — wymówił Grangemont.

To były ostatnie ich słowa.

Tegoż samego wieczora, gdy Saint-Esteve przeczytał w dziennikach opis strasznego tego pojedynku, nie chciał uwierzyć swojemu szczęściu.

— To być nie może! to sen! złudzenie! Grangemont i Trincart nie żyją! nie żyją obaj! Wiwat! Trala la la la la! Mogę sobie te az pohulać. Od półtora roku nie zjadłem porządnego obiadu! O godzinie trzy kwadranse na siódmą poszedł do Café Anglais, kazał sobie podać obiad na trzy osoby, nie zapominając o kapłonie z truflami i odpowiedniej ilości Chateau Yquem; do godziny jedenastej zjadł wszystko i wypił sześć butelek wina. Musiano go odwieźć do domu.

Nazajutrz przeładowany truflami Saint-Esteve, znaleziony został w łóżku bez życia.

Wszystkich trzech przyjaciół pochowano jednego dnia, ale nie w jednym grobie, szczęśliwa myśl ich rozdzieliła.

Kamil Debans.

Od Redakcyi.

Wny Pan W. W. w Chorostkowie. Na premie w b. r. są przeznaczone obrazy. Ogłoszenie na 1 stronie okładki.

Treść Nr. 42. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) **Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.**